# TYGODNIK KOBIETY



Nr. 3.
10 listopada
1935 r.

CENA
50 GR.



Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

# Kapelusze

1.







3.




4.




opis na str. 13

# TYGODNIK KOBIETY

Redaktorka naczelna: WANDA DOBRZAŃSKA. Wydawca: JANINA KULIGOWSKA.
REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Okólnik Nr. 11-a, tel. 666-35. KONTO P.K.O. 13.191.
Naczelna redaktorka przyjmuje we wtorki i czwartki od 11-ej do 13-ej. Sekretarjat redakcji czynny codziennie od 11-ej do 14-ej.

**Rok I Nr. 3.** **10 listopada 1935 r.**


## IMIENINY POLSKI 11-XI

Kalendarz mówi o tym dniu: „Święto państwowe". Ale mnie prześladuje określenie inne, które zawdzięczam jednemu z moich małych przyjaciół.

Dopytywał się kiedyś, co to jest ten 11 listopad i dlaczego to jest święto? Wyjaśniłam.

„Więc to taki trzeci maj"?

Nie, to niezupełnie tak, jak trzeci maj. Mówiłam dalej, i nagle — zmarszczenie brwi, ściągnięcie czoła na nitkę:

„Już wiem. To imieniny Polski"!

Nie pytałam, co przez to rozumie. Nie chciałam, żeby właśnie rozumowaniem zniekształcił ten uczuciowy stosunek do święta niepodległości, jaki w nim w tej chwili powstał. „Imieniny Polski" — czy może być piękniejsze, bardziej trafne określenie tego jedynego dnia w życiu naszego narodu!...

Wydało mi się to tem cenniejsze, że stosunek nas, starszych, jest do 11-go listopada właściwie żaden. Wciąż jeszcze wzruszają nas dawne rocznice: 3-mi maj, 29 listopad, 22 styczeń — ale jedenasty listopad, to zwykły dzień. Conajwyżej — „święto państwowe".

I w tem określeniu zamyka się tajemnica naszej obojętności... Lata niewoli wytworzyły w polakach indyferentyzm w stosunku do państwa. Państwo — to była obca, wroga potęga. Polska — to była ojczyzna. Ojczyznę się kochało, cierpiało za nią, umierało, pragnęło się ją widzieć wolną. A kiedy wreszcie ta wolna ojczyzna stała się państwem — granica między temi dwoma pojęciami okazała się trudna do pomyślenia. I do dziś dnia stoimy jakby trochę na rozdrożach tej nowej ojczyzny-państwa. Jakgdyby ojczyzna przestała nas potrzebować, a państwo — nie zaczęło obchodzić. Sądzę, że tak nie jest. Ale fakt pozostanie faktem: nie odczuwamy w pełni piękna dnia 11-go listopada 1918 roku.

Był to dzień pochmurny i dżdżysty, jak to w listopadzie. Ale w tym szarym dniu listopadowym spełniły się marzenia pokoleń, broniących ojczyzny siłą i mocą przetrwania i ucieleśnił się trud pokolenia, orężem o niepodległy byt państwowy dla ojczyzny walczącego. W dzień ów naród o pięknych tradycjach historycznych, o swoistej starej kulturze, zaczął znowu żyć życiem własnem i o własnym losie stanowić.

Nie, naprawdę, czynimy mu rok rocznie krzywdę, temu jedenastemu listopadowi, nie wychodząc mu naprzeciw sercem pełnem dumy i radości.

Piętno „święto państwowe" czyni go w oczach naszych uroczystym i oficjalnym. Gazety rozpisują się, czego państwo w 17 już obecnie lat dokonało. Zdaje nam się, że to wiemy (och, naprawdę, to nam się tylko zdaje). Że to żaden szczególny dzień. Trudno. Nie można nauczyć się odrazu wszystkiego. Nie każdy potrafi dojrzeć w odświętnie przystrojonych chorągwiami ulicach miasta głęboki sens tego dnia. Niekażdy rozumie, jak mój mały przyjaciel, że to nie żadna sztywna uroczystość, tylko — Imieniny Polski.

Ale czasami wystarczy coś takiego sobie uświadomić, żeby wszystko nagle stało się jasne.

Że to jedyny dzień w historji.

Że to początek naszej obecnej rzeczywistości.

Że to żywe świadectwo siły i żywotności narodu.

Że to...

Krótko mówiąc: Imieniny Polski.

*Zofja Popławska.*

## SERCA W MUNDURZE



*Dzieciaki sprowadzane są z ulic, z parków, z dworców kolejowych...*

Popołudnie było mgliste, deszczowe, przykre, gdy gromadka zainteresowanych zdążała ciemną boczną ulicą stolicy, aby zwiedzić nowootworzoną Izbę Zatrzymań Nieletnich. Skręciwszy w podwórze domu, mieszczącego Szkołę Oficerów P. P., i otrząsając się z deszczu, weszliśmy po kilku schodkach do Izby Zatrzymań w oficynie.

Przywitała nas i zaskoczyła jasność ścian, światło, czystość, spokój i pogodny nastrój, zdający się stale panować w tem małem mieszkanku. W kancelarji, w gabinecie, w przedpokoju — wszędzie granatowe mundury policyjne: to Kobieca Policja Państwowa, świeżo mianowane pierwsze umundurowane policjantki warszawskie.

Izbę Zatrzymań ufundowała Rodzina Policyjna, ofiarowując ją Głównej Komendzie Policji Państwowej, która ze swej strony, przekazała ją Kobiecej P. P., na czele której stoi zasłużona inspektorka p. Paleolog. Oddawna już dawał się odczuwać brak instytucji, którąby zbierała i przygarniała dzieci opuszczone, zabłąkane, podrzucone, wałęsające się lub zgubione, którąby identyfikowała malców, umieszczała ich w odpowiednich zakładach, odprowadzała do rodziców i t. d.

Dzieciaki sprowadzane są zewsząd: z ulic, z parków, z dworców kolejowych, z hal targowych i t. p. Poddawane są one przedewszystkiem gruntownemu wyszorowaniu, (rzeczy oddaje się do dezynfektorni przy więzieniu Centralnem), zaś malcy przebrani zostają, w miłe dla oka, szafirowe flanelowe ubranka, lub sukienki. Następnie mali pupile dostają jeść i najczęściej idą spać...

A policja przeprowadza tymczasem wywiady i, w przeciągu 48 godzin, rozstrzyga się los dziecka: zostaje ono bądź odprowadzone do rodziców, bądź umieszczone w Pogotowiu Opiekuńczem dla Dzieci, bądź wysłane do właściwej gminy, lub na koszt tejże gminy skierowane do odpowiedniego zakładu wychowawczego.

Miejsc jest 20 — 30. W dwóch niezbyt dużych pokojach, w których na ścianach wiszą napisy: „Policja jest



*Gruntownie wyszorowane, przebrane w czyste flanelowe ubranka...*

twoim przyjacielem", „Zaufaj nam", „Zastanów się nad sobą", stoją jasne, proste meble, zaś prycze do span a, składające się z hygjenicznych, politurowanych szczebli, są ruchome i na dzień przytwierdzane zostają do ściany; kładzie się na nich grube koce, które też służą do przykrycia.

W pierwszym pokoju zastaliśmy kilkanaścioro dzieci, w wieku od lat 5 do 15; na stole, pod opieką starszych, siedzi dwuletnie bobo i poważnie się rozgląda: znaleziono je; będzie identyfikowane i ewentualnie rodziców pociągnie się do odpowiedzialności karnej za niedozór, lub podrzucenie, ale narazie maleństwo zostało nakarmione i umyte, wyspało się i w błogosławionej swej nieświadomości czeka spokojnie, co mu los ześle.

Dzieci grają w warcaby, w szachy, słuchają radja, skupiają się przy wychowawczyniach. Jest ich dwie, ale druga myje właśnie w łazience nowego pupila i słychać z za drzwi płaczliwe protesty:

— Za co ja się mam kąpać! Ja nic nie zrobiłem złego!

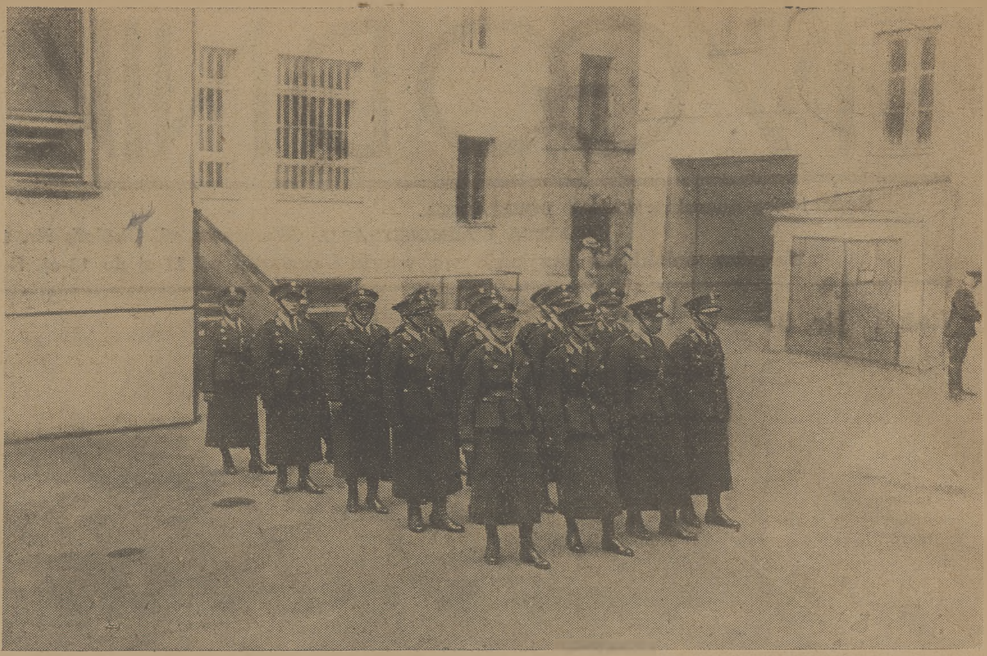
W pokoju następnym śpią na pryczy dwie małe dziewczynki: jeszcze niewiadomo, kim są i do kogo należą; sprowadzono je, każdą z oddzielna, z rozmaitych dzielnic miasta. Zgubione? Podrzucone? Zabłąkane?

Pośrodku pokoju pali się u sufitu duża lampa, dookoła rozmawia kilkanaście osób, lecz one śpią, małe ofiary losu, śpią tak że pot kropelkami ścieka im po buziach. Kiedy i gdzie spały dotychczas? Czy doznały w swem krótkiem życiu kiedykolwiek serca i opieki?

Chyba nie: chudziutkie to i blade, a oczki mają podkrążone i usteczka bezkrwiste.

Czy miały dobrą opiekę? Czy patrzały na nie kiedy tak poważne i dobrotliwe oczy, jak tu błyszczą z pod daszków policyjnych czapek?

Bo w Izbie Zatrzymań widać twarze okrutnie marsowe, rozświetlone blaskiem łagodnych rozumnych oczu; widać postacie opięte w urzędowy mundur, kryjący łagodne kobiece serca; palce przykładają się twardo do czapek, oddając przepisany ukłon, lecz ręce te są miękkie, często wypielęgnowane, ręce inteligentne; słychać krótkie dobitne pytania i odpowiedzi, wypowiadane melodyjnemi jasnemi głosami młodych kobiet.



*Marsowe twarze rozświetlone blaskiem łagodnych, rozumnych oczów.....*

I dzieciaki tę dobroć wyczuwają: garną się do swych przygodnych opiekunek, wierzą ich pociechom, radom i zapewnieniom, że „będzie dobrze".

O tak, będzie dobrze, bo w Izbie Zatrzymań panuje nietylko rozum, lecz i serce.

*Zofja Petersowa.*

# OKNO NA ŚWIAT

## ZAKAZANE ŁZY

Abisyńczycy oskarżają Włochów o stosowanie gazów trujących. Włosi potępiają Abisyńczyków za używanie kul dum-dum. Obydwie strony zarzucają sobie antyhumanitarne metody walki.

Pojęcie „wojny humanitarnej" może być zaliczone do tych aberacyj, które najsilniej skrzywiły busolę moralną rodzaju ludzkiego. Wypadałoby, że działanie karabinów maszynowych, kul armatnich i bomb lotniczych jest, owszem, humanitarne...

Czas na nowy wynalazek: niech z lufy armatniej razem z kulą wylatuje „opatrunek. Będzie to „humanitarna armata".

Tymczasem ras Nasibu, broniący Włochom dostępu do Harraru, pragnąc, by wojsko jego, udające się na front, miało dobre samopoczucie, zabronił kobietom abisyńskim... płakać. Te, które płaczą, są natychmiast usuwane z tłumu kobiet stojących na skraju drogi i żegnających swoich mężów i synów.

Ras Nasibu powinienby wydać jeszcze jeden rozkaz: żeby kobietom abisyńskim niewolno było cierpieć... Byłby to rozkaz cokolwiek trudniejszy do wykonania.

## PIĘKNY DOKUMENT

Dzień w dzień — nowe powody do zadrażnień w stosunkach polsko-czechosłowackich. Niecałe jednak społeczeństwo czechosłowackie poddało się antypolskiej psychozie. Rektorzy wszystkich czechosłowackich szkół wyższych, politechnik i uniwersytetów, wystosowali do rektorów wszystkich wyższych zakładów naukowych w Polsce list, w którym czytamy między innemi:

„Kierując się szczerą chęcią, aby już nie był rozdmuchiwany zły ogień namiętności, prosimy Was, Drodzy Koledzy, abyście raczyli nas odwiedzić. Wyślijcie do nas ze swego grona delegację, która w Waszym narodzie cieszy się zaufaniem, a my zobowiązujemy się nietylko do bratniego przyjęcia, ale przedewszystkiem do tego, że damy Wam do dyspozycji wszelki materjał, potrzebny do zbadania faktów, o które chodzi w sporze między naszemi narodami. Zobaczycie na miejscu i na podstawie materjału przekonacie się, jak się rzeczy przedstawiają, a potem powiecie nam wprost Wasze zdanie. Jeżeli błądzimy, zapewne znajdą się drogi do naprawy, jeżeli nie błądzimy, zapewne znajdą się drogi, aby przekonanie to stało się znane Waszemu narodowi. Ze wspomnień o pamiętnej odezwie czeskich pisarzy w roku 1917 czerpiemy naukę, jak wielką moc mieć może głos pracowników na polu nauki, którzy mają być i są sumieniem narodu. Dlatego mocno wierzymy, że odezwa, jaką ogłosiłaby Wasza delegacja, przyczyniłaby się do odnowienia dawnej bratniej zgody".

Godny pochwały dokument. Bodajby świat nauki wywierał silniejszy, niż dotychczas, wpływ na świat namiętności i uprzedzeń.

## ZE ZJAZDU SOCJOLOGÓW POLSKICH

W zjeździe socjologów, odbytym w Warszawie, wzięło udział około 100 uczonych polskich. Wśród licznych referatów, na zjeździe zgłoszonych, najciekawszą była rozprawa znakomitego socjologa prof. Ludwika Krzywickiego p. t. „Dobory społeczne a kwestja wzrostu ludności". Prof. Krzywicki wypowiedział się przeciw okrutnym „ułatwieniom" w polityce populacyjnej, mianowicie przeciw stosowaniu sterylizacji, zapobiegającej płodności jednostek zdegenerowanych i chorych. Zwolennicy sterylizacji opierają się na rzekomo niezłomnem prawie dziedziczności, dziś przez naukę tak silnie zakwestjonowanem w całym szeregu chorób. Niebezpieczeństwo przekazywania chorób niektórych drogą dziedziczności istnieje, lecz nauka nie ustaliła tu jakichś praw bezwzględnych. W licznych tedy wypadkach sterylizacji mamy do czynienia tylko z gwałtem i krzywdą.

Prof. Krzywicki nawołuje do szerszej akcji uświadamiającej o tem, że ludzie chorzy sami powinni wystrzegać się potomstwa.

## PRZED AMNESTJĄ

Prasa codzienna donosi, że rząd nasz ma ogłosić amnestję. Szczegóły nie są jeszcze znane, w każdym razie kilka tysięcy osób odzyska wolność.

Więzienia mamy przeludnione. W chwili obecnej liczba więźniów wynosi u nas zgóra 55.000 i przekroczyła normalną pojemność więzeń o 42%. Lecz nie ten tylko wzgląd zdecydował o amnestji.

W latach ostatnich wzrost przestępczości ściśle jest związany z kryzysem gospodarczym, więc z nędzą i bezrobociem. Ilość kradzieży wzrosła z 222.710 w roku 1924-tym do 465.685 w roku 1934-tym. W tem — kradzieże drobne stanowią 86.7% wszystkich kradzieży, a 62,1% całej przestępczości.

Oczywiście, drobne kradzieże nie mogą również uchodzić bezkarnie, lecz pamiętać trzeba, że w większości wypadków nie są dziś popełniane przez zawodowych złodziei, czy „urodzonych" przestępców. Co drugi więzień karny skazany jest na więzienie poniżej 6-ciu miesięcy, a co trzeci — poniżej 2 miesięcy. Wśród nich znakomita większość to t. zw. „przestępcy okolicznościowi", których do kradzieży pchnęła nędza. Nie mogąc korzystać z bezkarności, nie mogą też uchodzić za element zrównany moralnie z przestępcą zawodowym. Zasługują na względność. Więzienie dla tej kategorji więźniów nie jest szkołą moralnej naprawy.

Jest rzeczą społecznie ważną, by wypuszczeni z więzień naskutek amnestji, nie byli odtrącani od warsztatów pracy, znaczyłoby to bowiem, że poprostu pcha się ich do szeregu recydywistów — niebezpieczeństwo tem większe w okresie bezrobocia. Tu nadewszystko — pole do działalności „Patronatu".

Człowiek wypuszczony z więzienia — bez środków utrzymania i dachu nad głową — to zaiste tragiczny paradoks: chwila odzyskania wolności staje się dlań początkiem nowych utrapień, nieraz gorszych, niż w więzieniu. Rozpoczyna się prawdziwa... tragedja wolności. Odbywając karę, nie miał ten człowiek troski o zaspokojenie głodu, miał gdzie spać, mógł nawet (w tym i owym więzieniu) pracować. To też zdarzają się wypadki przestępstw popełnianych jedynie w celu... utraty wolności, której wartość jest dla wielu tak problematyczna.

Niedawno w jednym z warszawskich sądów grodzkich oskarżona o drobną kradzież prosiła sędziego, żeby ją skazał „na całą zimę". Sędzia wymierzył karę łagodniejszą: miesiąc więzienia z zawieszeniem kary. Oskarżona była zawiedziona w nadziei dostania się do więzienia...

Czy można wyobrazić sobie stan rzeczy bardziej nienormalny? Wszystko tu traci swój sens: pojęcie kary, normy prawa, względy bezpieczeństwa.

Trudna to sprawa. Dziś — niemal błędne koło. Tylko przy wielkiej naprawie społecznego życia zlikwidować się dadzą tego rodzaju anomalje.

## MILJON OFIAR

Polski Związek Przeciwgruźliczy przygotowuje się do wielkiej akcji propagandowej, która ma trwać przez grudzień r. b. na przestrzeni całego państwa.

Nie wszyscy uprzytamniają sobie doniosłość akcji przeciwgruźliczej. O powadze sprawy mówią nam wstrząsające cyfry, jakie znajdujemy w wydanej obecnie broszurze d-ra Marcelego Staroniewicza p. t. „Walka z gruźlicą a ubezpieczenia społeczne". Otóż mamy w Polsce „około 70.000 oficjalnie stwierdzanych co roku zgonów na gruźlicę, ok. 300.000 chorych zakaźnych z t. zw. gruźlicą otwartą, ogółem *ponad miljon chorych* na gruźlicę".

Ponad miljon! Taki zastęp ludzi znękanych chorobą, nieszczęśliwych, niezdolnych do pracy. Przytem, większość przytłaczająca — bez należytej opieki, bez ratunku.

Nasz arsenał przeciwgruźliczy wygląda tak: „341 poradni, 5219 łóżek sanatoryjnych i 3461 szpitalnych, razem 8680 łóżek, w prewentorjach — 1305 miejsc, w 4 szkołach na świeżem powietrzu — 308 miejsc. Łóżek w sanatorjach i szpitalach mamy dla chorych na gruźlicę dziesięć razy mniej w stosunku do ilości mieszkańców, niż ma Szwajcarja, cztery razy mniej, niż Italja, dwa razy mniej, niż Jugosławja."

Powinniśmy mieć dla chorych na gruźlicę ok. 60.000 łóżek szpitalnych 40.000 łóżek sanatoryjnych, 10.000 miejsc w prewentorjach i 16.000 miejsc w szkołach na otwartem powietrzu.

Taki jest kontrast pomiędzy dzisiejszym stanem rzeczy w tej dziedzinie, a rzeczywistemi potrzebami.

Sprawa smutna, tragiczna, wymagająca wielkiego wysiłku ze strony społeczeństwa i państwa.

*Obserwator.*



# PIERWSZA TURYSTKA W POLSCE



Turystyka, czyli odbywanie podróży dla własnej przyjemności, a nie dla wyraźnie praktycznego celu, jest zjawiskiem zupełnie nowem w dziejach kultury świata. My, ludzie XX wieku, przebywający olbrzymie przestrzenie w wygodnych wagonach, ze słuchawkami radjowemi na uszach, nie zdajemy sobie nawet sprawy, jaką torturą stawała się podróż naprzykład dla szlachcica z XIV wieku. Na śmiałka, który wyruszał w drogę, czyhały oceany bezdroży, pełne rozmokłej gliny lub piasku dokuczliwego, straszyły głębią niezbadaną rzeki i jeziora, które trzeba było przebywać w bród. A każda karczma na rozdrożu była siedliskiem zbójców okrutnych, czatujących na życie i majątek podróżnych. Jednak nawet wówczas, w tym wieku niebezpieczeństw, napotykamy już na pierwsze ślady turystyki polskiej. I co najdziwniejsze: tym turystą, co tak odważnie przezwyciężał ówczesne trudy podróży, pierwszym prawdziwym miłośnikiem przyrody — była kobieta.

Cofnijmy się w drugą połowę XVI stulecia. W miasteczku Kieżmarku, położonem w zakątku Tatr, które król węgierski Zapolya ofiarował magnackiej rodzinie Łaskich, panuje niezwykłe podniecenie. Jeszcze drzemią w krętych uliczkach echa wrzawy, jakie wywołała niedawna wiadomość o małżeństwie młodego, słynnego ze swych przygód wojennych Olbrachta Łaskiego ze starszą prawie o dwadzieścia lat księżną Beatą Kościelecką, gdy znów na spokojnych mieszczan spłynęła z wyżyn pańskich komnat, wieść tak niesamowita, że nawet największe plotkarki w mieście nie dają jej zrazu wiary. „Na Zielone Święta wybiera się księżna w daleką podróż w góry". Aż za głowę się chwycili przerażeni obywatele Kierżmarku. Góry! Czyżby wielmożna pani nie czytała dzieł Dawida Fröchlicha, słynnego matematyka, którego jak wyrocznię poważa cały świat naukowy? Wszak uczy mistrz Dawid, że Tatry są krainą groźną i niedostępną, dzikością i spadzistością przewyższającą znacznie Alpy szwajcarskie, włoskie i tyrolskie i dziwów wszelakich pełną.

Wprawdzie wszystkie bez wyjątku białogłowy w miasteczku przyznają, że panią na Kieżmarku spotkała ze strony męża okrutna i nieuzasadniona krzywda. Jakże, czyż to uchodzi szlachetnemu rycerzowi jak więźnia trzymać w starem zamczysku swoją prawowitą małżonkę, a samemu, zabrawszy jej krociowy majątek, wyruszać w świat, po nowe przygody? Olbracht, wojewoda sieradzki, stacza boje w dalekiej Wołoszczyźnie, a pani, jak pustelnica jaka, przepędza długie dnie i miesiące w swem pałacowem więzieniu. Mimo to nie godzi się desperacje swoją posunąć tak daleko, aby, zapominając o zasadach wiary chrześcijańskiej, nierozsądną podróżą w góry, dobrowolnie skazać się na utratę życia. Bo podobno, (o tem opowiadają sobie kumoszki miejskie), w okolicy Szczyrskiego jeziora zamieszkał, w opuszczonej kaplicy, smok ogromny, który napędza strachu nietylko ludziom, ale i zwierzętom. A znów góra Łomnica, według obliczeń Fröchlicha, posiada aż 1 milę niemiecką wysokości (7½ km.) i zalicza się do najwyższych szczytów świata. Wierzchołek jej, pogrążony w wiecznej mgle, sięga do najdalszych warstw powietrza, dokąd o zgrozo... nawet wiatry nie dochodzą!

Jednak te ponure obrazy nie odstraszyły dzielnej białogłowy, i Beata Kościelecka spędza długie godziny dumania w pięknej a dzikiej dolinie Zielonego Stawu. U stóp jej błyszczy czarnem ślepiem jedna z najgroźniejszych przepaści tatrzańskich, a czar przyrody, niby balsam cudowny, koi duszę księżnej. O czem marzy samotna podróżniczka? Może myśl jej, jak ptak, zakołatała do okna czarnej wieży w Szamotułach, gdzie spędza swe niemniej smutne życie jej nieszczęsna córka, Halszka z Ostroga? A może przed oczyma pani przewinęła się, niczem haftowany złotem pas, jej młodość, spędzona na dworze króla Zygmunta Starego? Gdzieżeście zniknęły cudne dnie młodości, gdy to w orszaku królewny Izabelli, wśród wszystkich otaczających ją panien dworskich, jaśniała jak gwiazda urodą i wdziękiem kasztelanka wojnicka? Wprawdzie piękna Beata nie jest, jak uparcie to stwierdzają języki złośliwych, córką królewską, ale niemniej i ją, jako siostrę syna królewskiego otacza specjalna, czuła opieka władcy. Sama królowa Bona zajmuje się jej losem i wychowuje ją, według słów Górnickiego, „w takiej uczciwości, jakby coś z króla miała w rodzie".

Już 23 wiosnę wykukała kukułka w borze, ale imć panna kasztelanka grymasi w wyborze męża i ani myśli nakryć swych długich warkoczy czepcem mężatki. Jakże jest pewną, że na pierwsze skinienie jej małego paluszka cały świat młodzieży złoży kornie u jej stóp swe serca i majątki. Czy nie utwierdzają ją w tem przekonaniu pełne uwielbienia, łacińskie wiersze Jędrzeja Krzyckiego, w których poeta-dworak opiewał jej wdzięki i znaczenie na dworze królowej?

O Beato, co cię zdobią rzadka piękność
i obyczaj gładki,
O ty poważna i skromna z oblicza, z mowy
i układu.
Godni i niegodni wpatrują się w ciebie.
Starzy nawet i radni wzdychają za tobą.
Kwiat młodzieży sercem całem, pragnieniem
najwyższem
Dobija się nie o przyjaźń lecz o rękę twoją.

Lecz w końcu zjawił się w podwojach królewskich rycerz z Ukrainy, któremu kapryśna Beata nie odpowiedziała zwykłym słówkiem „nie". Był to młody książe Ilias Ostrogski, potomek słynnego i bohaterskiego rodu.

I odbyło się wesele... Jeszcze dzisiaj wspomnienie tego przepychu i świetności zwabia na pożółkłą i zgorzkniałą twarz księżny, blady cień uśmiechu. Bo jakież to były te gody, którychby niejedna księżniczka krwi pozazdrościła! Ceremonja nawet ślubna odbyła się zaraz nazajutrz, po zaślubinach królewny Izabelli z Janem, królem węgierskim!!

A potem już niewiele dni szczęśliwych dane było przeżyć Beacie. W pół roku po ślubie przywdziać musiała szaty wdowie, a gdy w ponury dzień listopadowy zawitała na zamku w Ostrogu nowa istotka, powitały ją zamiast triumfalnych wystrzałów armatnich, gorzkie łzy Beaty. Odtąd widzi tylko uciszenie swego bólu w wychowaniu córki Halszki. Ej, czy to jedynie miłość rodzicielska kieruje panią na Ostrogu? Nie naprożno była Beata Kościelecka wychowanką królowej-Włoszki. Więc gdy szczęście małżeńskie zniknęło jak sen złoty z życia księżny ostrogskiej, niech przynajmniej pozostaną w jej rękach pieniądze i zarząd włości.

Złoto, złoto, jakże miły dla ucha staje się brzęk żółtych krążków, których coraz więcej i więcej pragną zagarnąć chciwe dłonie. To nic, że nagromadzone skarby palą krzywdą córki-jedynaczki. Ważnym jest tylko fakt że bogactwo rośnie nieustannie. Więc spokojnie patrzy, jak pierwszy mąż jej córki Dymitr Sanguszko ginie marnie z rąk jej krewnych; więc nie uznaje wybranego przez króla, drugiego małżonka hr. Górki i nie zważając na istniejące węzły małżeńskie, oddaje córkę „swemu kochanemu zięciowi,— księciu Siemionowi Słuckiemu".

Lecz fatum dziejowe srodze ukarało dumną niewiastę.

Naprożno samotna podróżniczka przemierza szybkiemi kroki zielone doliny tatrzańskie, naprożno szczelnie zaciska nabrzmiałe od płaczu powieki, — wszędzie, jak cień, sunie za nią obraz drugiego małżonka Łaskiego. Znać głęboko wrył się w serce leciwej już księżny, młody, pełen fantazji zawadjaka, — ten ostatni błędny rycerz nowożytnych czasów. Bo oto, niepomna na różnicę wieku, bez namysłu oddaje mu swoją rękę i... strzeżony tak bacznie majątek, rzekomo wywdzięczając się „za starania w jej sprawach, a osobliwie około najmilszej córki, księżny Elżbiety Słuckiej".

Smutno potoczyły się dalsze koleje losu pierwszej turystki i miłośniczki Tatr. Przez długie lata błagania uwięzionej nie wzruszają nikogo i nadaremno wypatruje księżna przez wąskie okno wieży nadciągającej pomocy. Zawiodły również starania krewnych i córki, jak i ów rozpaczliwy list do cesarza Maksymiljana, pisany w braku inkaustu rozpuszczoną sadzą z komina. Dopiero po jedenastu latach zwrócił jej upragnioną wolność szlachetny starosta Jan Rueber.

Niewiadomo, czy danem było Beacie Kościeleckiej choć raz jeden zobaczyć córkę i mury rodzinnego Ostrogu, czy też już w samotności zakończyła swój żywot w gościnnym domu jeneralnego starosty Wyższych Węgier, w Koszycach. Widocznie nieżywiła do Olbrachta Łaskiego żalu ani za krzywdy więzienia, ani za jego awanturnicze małżeństwo z Francuską, z dworu Henryka Walezjusza, gdyż specjalnym dokumentem potwierdza jeszcze raz jego prawa do ofiarowanego mu majątku.

Jednak mieszczanie kieżmarscy w żaden sposób nie mogli się pogodzić z tym, zadziwiającym współczesnych, faktem wyprawy w góry i wreszcie, po długich naradach, postanowili uwiecznić go ku przestrodze potomności. I tak w lakonicznej, obyczajem średniowiecznym prowadzonej kronice miasta, między opisami wypadków wojennych i klęsk żywiołowych, powstała nowa notatka, o Beacie Kościeleckiej, tej dziwnej pani na Kieżmarku, co żywiła do Tatr takie gorące upodobanie, że aż anno domino 1556 odbyła długą podróż w góry.

*Hanna Muszyńska*

# Na marginesie życia

## Przyjaźń kobieca

Niedawno kolega dziennikarz zapytał mię, co myślę o przyjaźni kobiet do kobiet, i dodał:

— Nie będziemy, zapewne, tego samego zdania, za dużo widziałem przyjaciółek, które skutecznie pomogły do rozejścia się lub, conajmniej, do poróżnienia małżeństw i zakochanych.

— Łaskawy kolego, myślę, że przyjaźń, której podłożem musi być zaufanie i obopólne zrozumienie, w świecie kobiecym spotyka się często. I jest ona czemś bardzo solidnem, lojalnem i pięknem. Mężczyźni jednakże mówią innym językiem niż my, wiadomo, że im więcej ich znamy, tem mniej pragniemy do nich być podobne. Jedynie między sobą najlepiej się rozumieć jesteśmy wstanie, a także ocenić wagę jakiegoś bólu, zawodu, wysiłku, czy radości. Zapewne jest w przyjaźni naszej ten element, który oni lubią nazywać mafją kobiecą; potrafi bowiem przyjaźń kobiet mieć miejsce bez specjalnego przywiązania. Rodzaj siostrzanego uczucia, odczuwanego nawet dla nieznajomej. Dlatego przyjaźń kobieca jest dziedziną szczególnie trudną i łatwą zarazem. Zjawiskiem bardziej złożonem, bardziej wymagającem, pewniejszem także i głębszem, niż się naogół w to chce wierzyć.

Mężczyzna prawdziwie kochający kobietę, rzadko ją zrozumie tak, jak jej towarzyszka, może nawet przygodna. Czasem się to zdarza, — wtedy jednak mówi się o takim mężczyźnie, że ma naturę kobiecą. Czy należy dodać, że przyjaźń wymaga prawie tyle pieczy, tyle ostrożności, co miłość, i że jedynie bezpiecznym jej klimatem jest zdecydowane trzymanie tej przyjaźni na uboczu od wszystkiego, co może ją zepsuć, zdmuchnąć jej świeżość, złamać.

Czytelniczki z łatwością zrozumieją, że chodzi tu o mężczyznę, należącego do tamtej — o chęć podobania mu się, zdobycia go, zatriumfowania.

W opanowaniu tych kocich odruchów leży tajemnica istotnej przyjaźni, — niewątpliwie najtrudniejsza...

*Stefanja Jankowska*

*William Locke*

# Uzurpator

*Przekład autoryzowany Ludwiki Ciechanowieckiej*

*Powieść*




Ranna poczta przyniosła też list od majora Sparlinga. Major zawiadamiał go, że członkowie rady naczelnej stronnictwa konserwatystów proszą pana Jasper'a Vellacot, by zechciał kandydować z North Ham, skoro tylko opróżni się miejsce po jednym z posłów. Zaznaczają przytem, że skłonni są pozostawić mu zupełną swobodę działania, będzie więc mógł pracować dla ludu, oczywiście zgodnie z duchem konstytucji.

Vellacot wręczył list Cudby'emu i nieomieszkał zacytować pewną strofę z trzeciej części Henryka VI-go, poczem wrzucił list do „prywatnego" koszyka.

Jasper zagłębił się w fotel i puścił wodze marzeniom. Widział już siebie na tle zielonych ław, wygłaszającego płomienną mowę. Zrywa się burza oklasków...

Przetarł oczy i parsknął śmiechem.

— Czy wiesz, Tomaszu, rzekł, chowając ręce do kieszeni, że w innych warunkach byłbym z pewnością najlekkomyślniejszym z ludzi... Przez całe życie marzę o tem. Ale widzisz, w dzieciństwie zaznałem nędzy, a nędza nie pozwala rozwinąć skrzydeł. Teraz znów cięży mi bogactwo...

Podszedł do okna i ogarnął wzrokiem ulicę. Lipcowe słońce rzucało blask na jezdnię i chodniki, nad domami jaśniał płynny lazur nieba. Jasper poczuł przemożną tęsknotę. Jakże pragnął w tej chwili wyłamać się z kieratu konwencjonalnych praw, z labiryntu ciasnych ulic. Zatęsknił do dalekich przestrzeni, owianych wonią eukaliptusów... Jego marzycielska natura, ujęta w karby przez rozum, utrzymywała równowagę niby piłka, podrzucana przez wodotrysk. Oto dlaczego ludzie bezmyślni uważali go za człowieka słabego. W chwilach przełomowych ujawniała się jego potężna, lecz rozdwojona indywidualność. Raz jedna, to znów druga dusza brała górę. W pewnych okresach działał szybko, decydował się w jednej chwili, rzucał rozkazy bez wahania, to znów przeobrażał się w marzyciela, w poetę współczującego cierpiącemu światu, snującego sentymentalne marzenia, albo tęskniącego do nieuchwytnego piękna, po które nie śmiał sięgnąć...

W tej chwili tęsknił boleśnie do błękitnej dali, do rozległych stepów, owianych wonią kwitnących eukaliptusów. Odwrócił głowę i westchnął.

— Wiesz, czego mi się zachciewa? Pojechałbym do Kensington taniutkim spacerowym parowcem, za jednego pensa.

— Sądzę, że możesz sobie na to pozwolić, odparł Cudby.

— Jeżeli uporam się z listami, pojadę po śniadaniu. Dużo mam jeszcze tego?

— Ułożyłem resztę listów w koszyczku, podczas gdyś się gapił na ulicę, odrzekł Cudby, powstając z krzesła, sam się zajmę przyjmowaniem durnowatych gości, a ty sobie wagaruj.

Jasper skinął potakująco głową. Dzisiaj będzie widzialny tylko dla dwóch łazików z Rio Janeiro. Chce ich koniecznie zobaczyć. Cudby w odpowiedzi rzucił ironiczną uwagę, poczem wyszedł z kancelarji, zaś jego szef zagłębił się w przeglądanie listów. Minęła znowu godzina. W pewnej chwili natrafił na jakiś list, którego nie zauważył. Było to zaproszenie od lady Alicji Harden na piątek popołudniu. U dołu karty widniał dopisek: „répondez s'il vous plait". Pismo było subtelne, staranne a niepozbawione charakteru. Znowu mu się zdawało, że widzi Alicję. Stoi naprzeciwko niego, przygląda mu się życzliwie, a słodkie jej oczy ranią go jak sztylety.

Chwycił kartkę papieru i zaczął pisać, tłomacząc się, że przyjął już wcześniejsze zaproszenie, musi więc z przykrością zrezygnować z łaskawego zaproszenia pani Harden. Nerwowym ruchem zaadresował kopertę i wrzucił ją do specjalnego koszyka, poczem powrócił do zajęć. Niebawem wszedł urzędnik, zabrał listy przeznaczone do wysyłki i zniknął, a w chwilę później rozległo się bicie zegara. Gdy umilkło dwunaste uderzenie, Jasper pomyślał z ulgą, że list został w tej chwili wyjęty ze skrzynki i odwieziony na pocztę. Stało się. Westchnął z ulgą. Nigdy więcej nie ujrzy Alicji. Ta znajomość byłaby podwójnie niebezpieczną. Nie ma on nic wspólnego z damami z tak zwanego towarzystwa i wogóle cóż go obchodzą kobiety! Miłość i śmiech dzieci, to raj do którego Jasper nie ma wstępu. Sam rzucił w przepaść bez dna klucz od owego raju. Stoi dzisiaj za bramą. A jednak zadowolony jest z tego. W ostatnich dniach drażniła go świadomość, że trzeba będzie zdobyć się na odmowną odpowiedź, otóż nareszcie uwolnił się od nieznośnego kompleksu. Przerwał wszystko, odrzucił pokusę i odzyskał spokój.

Skoro jednak doszedł do okna, słońce wydało mu się mniej jasne, a niebo mniej niebieskie. Powiedział Cudby'emu, że doszedł do wniosku, iż projekt jazdy na Kensington, na spacerowym statku, jest w gruncie rzeczy głupi i dziecinny, są przecież ważniejsze sprawy do załatwienia w City...

### Rozdział III.

W chwili, gdy Vellacot powziął decyzję zerwania znajomości z Alicją, nie liczył się z podagrą. Na myśl mu nie przyszło, że tak prozaiczna choroba stanie się ważnym czynnikiem, który wywrze wpływ na jego osobiste życie. Zdarza się jednak, że człowiek sam stanowiący o własnym losie i lekceważący trywialne szczegóły życia, pada ofiarą właśnie owych trywialnych a pozornie nieważnych czynników.

Vellacot uległ atakowi podagry. Atak był słaby. Podagra nieraz mu dokuczała, lecz zdołał się jej pozbyć. Teraz jednak wróciła zgoła niespodziewanie. Doktór radził wyjazd do Aix-les-Bains. Jasper wolał pojechać do Harrowgate, bo to bliżej Londynu i można zaglądać do miasta, nie przerywać zajęć i załatwiać ważniejsze interesy. Doktór jednak zalecał zupełny wypoczynek. Jasper nie chciał zrezygnować z Harrowgate, doktór upierał się przy Aix-les-Bains. Cudby trzymał stronę doktora i póty dyskredytował wody Abana i Pharpar, póty złościł się, nalegał, prosił, aż wreszcie odniósł zwycięstwo.

Pewnego sierpniowego ranka odprowadził Vellacot'a na dworzec Charing Cross, potem wrócił na Gover Street, do swego umiłowanego Szekspira.

Zrezygnowany Jasper udał się do Aix i powierzył chorą nogę głośnemu specjaliście. Posłusznie spełniał nakazy doktora, brał kąpiele i natryski i czuł się doskonale. W małem miasteczku, nad czarownem jeziorem, u stóp amfiteatru gór, uczucie zmęczenia znikało gdzieś, jak ból chorej nogi pod wpływem masażu. Vellacot zamieszkał w niedrogim hotelu, zaprzyjaźnił się z sąsiadami z jadalni i rozkoszował się spokojem. Miał wrodzony wstręt do przepychu, luksusowych hoteli, wystawnego trybu życia. Wystarczały mu skromne uciechy i niewinne rozkosze.

Mieszkańcy Aix-les Bains spędzają popołudnie kolejno w dwóch kasynach, w Grand Cercle i Villa des Fleurs. Gdy siądziesz na tarasie Cercle, przy filiżance czarnej kawy, możesz podziwiać taniec ogni sztucznych w Villa des Fleurs. W pięknej Villa można wygrać sporo pieniędzy w bakarata, a przegrać je w dwie minuty w Cercle. Skoro cię znużą koncert odbywający się w zamkniętej sali Cercle, możesz uciec do Villa, gdzie w cieniu rozłożystych drzew przechadzają się kobiety w jasnych, letnich strojach i mężczyźni w flanelowych kurtkach... Biali kelnerzy prześlizgują się wśród barwnego tłumu, żonglując szklankami, w których dzwonią kawałki lodu. Jasper wyrzucał sobie, że zbyt łatwo uległ namowom przyjaciela i dał się unieść prądowi lekkomyślnego życia. Codzień odbywał wycieczki małym parowcem po jeziorze, ucinał drzemkę w ogrodzie Villa des Fleurs, woził na spacery troje angielskich dzieci, wraz z ich babcią, podczas gdy matka ich traciła pieniądze w kasynie. Zakochał się w ogniach sztucznych i przyglądał się im z zachwytem, kibicował za stołami gry i bawił się jak dziecko, widokiem galopujących wytrwale koników...

Minęło osiem dni. Pewnego wieczora Jasper stał w sali gry, w Villa des Fleurs i przyglądał się ryzykownej grze roznamiętnionych graczy. Duszna sala przepojona była aromatem perfum i ciał kobiecych. Ponad jednostajnym szmerem rozmów górował głos krupierów. Przy każdym stole tłoczyła się gromada kibiców. Jasper patrzał na graczy ze smutnym uśmiechem. Współczuł ludziom opanowanym gorączką złota. Ciągnęli tutaj do Mekki znani lichwiarze z Londynu, właściciele spelunek z Meksyku, podstarzałe, rozczochrane, kobiety w bawełnianych bluzkach. Wokoło stołów siedzieli ludzie chorzy, którzy przyjechali do Aix-les Bains na kurację. Ci wyglądali jakby duszę ich dręczyła podagra, a ciała — reumatyzm. Sąsiadowali z nim amerykańscy miljonerzy, bogate amerykanki, wytwornie ubrane, bębniące po stufrankowych sztonach lakierowanemi paznogciami. Był i międzynarodowy żyd, podejrzany aferzysta, łysy, krogulczo-nosy, o twardem spojrzeniu, w nieposzlakowanie skrojonym żakiecie, z brylantowemi spinkami. Wśród graczy mieniły się jaskrawemi barwami kokotki paryskie. Obciążone pierścionkami palce trzepotały niespokojnie, sięgając po czerwone sztony, rzucane przez krupierów. Z kokotami sąsiadowały świeże, roześmiane angieleczki, w letnich sukienkach, anglicy o czystych, spokojnych twarzach, ładne francuzki, śledzące drapieżnym wzrokiem uciekające szczęście.

— Pan nie gra? zapytała łamaną angielszczyzną jakaś dziewczyna.

— Nie, odrzekł z prostotą, — boję się.

— Czego się pan boi?

— Boję się wygrać.

Dziewczyna spojrzała nań ze zdumieniem i jęła przepychać się przez tłum. W ręku trzymała dwadzieścia franków.

— Pan jest poprostu dziwakiem, panie Vellacot, zabrzmiał jakiś głos tuż obok Jaspera.

Serce jego zabiło gwałtownie. Odwrócił głowę i ujrzał Alicję. Uśmiechała się trochę przekornie.

Zlekceważona podagra srodze się na nim zemściła. Trzeba będzie albo spakować manatki i wiać co sił w nogach z Aix, albo utrzymywać w dalszym ciągu towarzyskie stosunki z panią Alicją. Aix jest przecież czemś w rodzaju olbrzymiego hotelu, gdzie nie można uniknąć spotkań ze znajomymi... W oszołomionym mózgu Jaspera kotłowało się od najdzikszych pomysłów. Musiał jednak odpowiedzieć konwencjonalnym wykrzyknikiem, wyrażającym zdziwienie z nieoczekiwanego spotkania.

— Przyjeżdżam do Aix rok rocznie, zadźwięczał jej spokojny głos, na trzy, czasami na cztery tygodnie. Sama nie przeprowadzam kuracji. Towarzyszę ciotce, lady Luxmoore, która cierpi na podagrę. Mieszkamy razem. A kiedy pan przyjechał?

Rozmowa przesiliła się w banalną wymianę zdań na temat pogody i uroków letniska. Ale Vellecot wyczuwał w głosie Alicji dziwne drżenie. Nawet, gdy wymawiała słowa nieważne i banalne zdradzała nerwowy niepokój. Przyrównał jej głos do szmeru strumyków górskich. Zły był na siebie, że się poddaje jej czarowi. Miała na sobie blado-różową suknię i słomkowy kapelusz z pękiem róż pod szerokim rondem. Rozmawiali teraz o możliwościach jakie kryje hazardowa gra w baccarat. Przemknęło mu się przez mózg pytanie, czy czasem Alicja nie wyszła zamąż? Obawiał się, czy niema między nimi niezwalczonej przeszkody w postaci męża i dzieci. Alicja uznała za stosowne wyjaśnić Vellacot'owi dlaczego przyszła do kasyna. Była na obiedzie z Seagrius'ami, w Villa des Fleurs. Ci Seagrius'owie — to jej sąsiedzi z Hertfordshire, którzy mieszkają w Hotel d'Europe, naprzeciwko kasyna. W tej chwili siedzą przy stole i próbują szczęścia w grze.

— A pan podobno boi się wygrać, rzekła znowu. To zabawne. Przecież może pan przegrać. Ja naprzykład nie jestem przesądną.

— A ja jestem przesądny, odparł Vellacot.

— Wartoby zaryzykować...

— Dlaczego?

— Dla mnie.

— Może jednak spróbujemy szczęścia? spytała Alicja.

*(D. c. n.)*

# O człowieku który pisał same bajki



*Nowela*

Był raz człowiek, co pisał zawsze same tylko bajki. Niewiadomo nawet dlaczego. Ganiono go też za to powszechnie. Powiadano, że bajki jego wszystkie są do siebie podobne, dla dorosłych zbyt dziecinne, a dla dzieci zbyt poważne, że zresztą nikt teraz tych rzeczy nie czyta — Andersen był jeden i to wystarczy. Plagjaty nie opłacają się nigdy, jeżeli trącą myszką.

Człowiek nasz mieszkał na poddaszu, właśnie jak ubogi student Andersena. Nie przyszedł tu doń wprawdzie, jak do tamtego, mały dobroczynny krasnoludek, ale w głowie roiło mu się tyle najrozmaitszych dziwadeł, że się nigdy nie czuł samotnie. Potrafił rozmawiać z krzesłem i spaczoną szafą, bo szafa wyglądała tak staro, że niepodobna, aby nie miała jakiejś przeszłości — może właśnie bardzo interesującej. Albo przymrużywszy oczy, wędrował gdzieś wdal, w głąb pejzażu z małego obrazka zawieszonego na ścianie. Pejzaż był zwyczajny i brzydko namalowany — ale szła na nim kręta droga za jakieś drzewa i domki. Czyż nie mogły kryć się rzeczy najciekawsze może — za temi drzewami i domkami?

Czasem martwił się tem swojem wiecznem bajkopisarstwem i wtedy próbował coś ułożyć poważnie. Zaczynał więc od słów: „Elegancki mężczyzna wchodził na pokład wielkiego transatlantyku" — albo też: „W uścisku ramion namiętnego kochanka rychło omdlała eteryczna hrabina"... Brzmiało to zupełnie odpowiednio dla zwykłej nowelki. Ale okazywało się wtedy, że nie może pisać dalej, bo nie wie właściwie jak wygląda wielki transatlantyk i nie trzymał nigdy sam w ramionach kobiety. Emocyj zatem będących z tem w związku musiałby chyba szukać w encyklopedji, a na to trzeba było iść przez wiele ulic do bibljoteki publicznej. Zresztą niewiadomo nawet, czy dałoby się w ten sposób sklecić udatne opowiadanie. Zaraz natomiast, eteryczna hrabina rozpływała się w pianę morską w zbyt namiętnych objęciach kochanka i umykała na Atlantyk, między siostrzyce swe, syreny, na co tęsknie patrzał z burty statku elegancki mężczyzna w popielatym garniturze, któremu przepowiedziały cyganki małżeństwo ze straszydłem, a potem dziewięć kochanek. Spieszył więc czemprędzej na morze w poszukiwaniu straszydła. I znowu wychodziła z tego bajka — rzeczywiście ani dla dorosłych, ani dla dzieci.

Tymczasem za małem okienkiem poddasza mieniło się niebo barw tysiącem, a pory roku, tu w górze dopiero trochę się po ciasnocie miejskiej rozprostowujące, stukały raz w raz o szyby, wieczorami i rankami, prosząc by je dać poznać mieszkańcom pudełkowatych kamienic w dole, by je ładnie, prozą czy rymem, wyrzeźbić do czytania w pokoju przy lampie — skoro już na tych ludzi żadnego innego niema sposobu. Przychodziły też jakieś echa i refleksy, stokroć piękniejsze od samych dźwięków i świateł, a nocami deszczowemi pachniała ziemia małych podwórzowych ogródków jak całe rozległe pola, nad któremi przelatują żórawie. Wszystko to, na to właśnie było przez Boga stworzone, żeby nauczyć ludzi szczęścia jak abecadła, a nauka nie przedstawiałaby się nawet tak trudno, chodziłoby wszak tylko o zrozumienie, że świat pełen jest piękna i że to jest najważniejsza rzecz. — „Tak" myślał sobie nasz poeta — bo chyba można go tak nazwać dla skrócenia, — „każda piękna rzecz, chociażby ten cień drobnej gałązki, który na moją szybę rzuca latarnia, to jakby ekspozytura Boga na świecie. Ambasada, poselstwo, czy zgoła malutki konsulacik, w zależności oczywiście od rozmiarów kraju, dla którego go ustanowiono. A że Bóg jest przyczyną wszystkiego, początkiem i końcem, więc właściwie nie chodzi przecie o nic więcej, tylko o to, żeby go dać poznać bliżej". Tak sobie myślał i dlatego żył zawsze w dobrej komitywie z dniem i nocą, bo rozumiał czego odeń chciały stukając w okno poddasza. Ale na to, żeby ludziom o tem wszystkiem powiedzieć, trzeba było jeszcze zrozumieć ów dziwaczny, wieloraki mechanizm, jakim jest człowiek. Tego zaś trudno dokonać nawet przy pomocy encyklopedji z bibljoteki publicznej. Więc poeta stawał nawprost zachodzącego słońca i mówił wróblom skaczącym po dachu: „Nic z tego nie będzie". I było mu bardzo smutno, bo czuł się na świecie zupełnie niepotrzebny.

Czasami przypomniał sobie, że sam jest człowiekiem, ale to się zdarzało rzadko. Obcował przecie tak bezustannie z urojeniami, że trudno byłoby powiedzieć, czy żył naprawdę, a gdyby spróbował napisać własny swój pamiętnik, znowu wyszłaby z tego tylko bajka.

Kiedyś zaczął jak zwykle, pisać fantastyczną opowieść: „Zła kobieta pomyślała raz, wracając nocą do domu, że mogłaby też mieć dziecko. A potem usnęła i przyśniło się jej, że ma syna, takiego samego złego jak ona, a nawet gorszego jeszcze. Nic dziwnego, bo gdy nocami wychodziła z domu dla dokonywania niecnych swoich uczynków, wszystkie dawne jej występki wysuwały się z kątów i pilnowały kolebki dziecka. Toteż, kiedy wyrósł, wkładał węże pod poduszki innych dzieci, dobrych jasnowłosych maleństw, a gdy potem wychodził do ogrodu, zamykały się na jego drodze wszystkie kwiaty, odwracając z niechęcią swe kielichy. Zapłakała na ten widok zła kobieta. Ale obudziwszy się, nie stała się odrazu dobrą, bo na to nie wystarczy jednej łzy, a tembardziej wylanej przez sen".

W tem miejscu zatrzymał się i począł rozmyślać nad tem, czegoby jeszcze trzeba było na to, żeby się zła kobieta stała dobrą. Bo na końcu bajki muszą zawsze źli ludzie stać się dobrymi, lub też być pożartymi przez ognie piekielne. On zaś wolał uniknąć brzydkiego siarkowego piekła, było to bowiem właśnie miejsce najbardziej oddalone od Boga.



Tymczasem otworzyły się drzwi jego izdebki bez uprzedniego stukania i weszła kobieta, która od paru dni mieszkała obok, na tym samym korytarzu. Miała ucięte włosy i dużo pudru na twarzy, lecz szminka z ust jej się starła, a nie miała widać czasu nałożyć jej na nowo. Powiedziała, że przyszła poprosić o zapałki, bo swoich znaleźć nie może pociemku. Ale widocznie nie było jej śpieszno, bo usiadła po drugiej stronie stołu, a zobaczywszy na nim zapisany arkusz — nie pytając o pozwolenie, czytać zaczęła. Potem roześmiała się i zapytała poety, czy ma własne dzieci? Pewno nie, bo wiedziałby w takim razie, jakie to nieznośne i krzykliwe stworzenia. Spytała go potem, czy się tak bardzo boi węży — i czy lęka się też kobiety, bo wszak kobieta i wąż mają ze sobą konszachty bardzo starej daty. Wreszcie zechciała wiedzieć jak się ta bajka skończy. Czy nie możnaby, skoro jedna łza przez sen wylana nie wystarczy, wymyślić kogoś, coby przelewał ich dostateczną ilość na jawie, podczas, kiedy złe kobiety oddawałyby się spokojnie niecnym swoim uczynkom — bo jasne jest przecie, że nie potrafiłyby robić nic innego. Dzieci zaś możnaby im darować. Mówiąc to patrzała, jakby chciała dodać: „Wyglądasz mi na mazgaja!" Potem wyjęła czerwoną pomadkę i nałożyła jej grubą warstwę na wargi. I znowu patrzała na poetę, jakby pytała: „Nie zechciałbyś jej zetrzeć?" Ale on ofiarował jej pudełko zapałek. Śmiała się znowu, lecz nie wiadomo było, co ten śmiech ma znaczyć. Wychodząc zapomniała zabrać zapałki, nie wróciła jednak po nie. Widocznie odnalazła swoje poomacku.

Następnego dnia poeta nie pisał wcale. Nie mógł w żaden sposób wymyślić dalszego ciągu bajki. Wieczorem sąsiadka znowu weszła do niego bez stukania. Tym razem prosiła, by pomógł jej wypędzić z pokoju nietoperza. Wleciał przez otwarte okno i może się zaplątać we włosy. „Potem, — mówiła, — napisze pan o nim bajkę sataniczną. Nietoperz bowiem należy do zwierząt satanicznych". Poszli więc razem, ale nietoperza już nie było. Musiał wylecieć tą samą drogą, którą przyszedł. Zwierzę to miało widocznie wiele akrobatycznych zdolności, bo w oknie był otwarty tylko oberluft. Gdyby tak nadzwyczajny nietoperz nie był uciekł, możnaby go z powodzeniem sprzedać do cyrku. Kobieta prosiła poetę, by usiadł. Chciała wiedzieć, jak skończył wczorajszą bajkę, a skoro nie jest skończona, to może opowie inną. Miała dotąd wielu znajomych, ale wśród nich ani jednego poety.

Obejrzał się dookoła pokoju, bo nie zwykł był bajek szukać daleko. Na ścianie wisiały fotografje najpiękniejszych aktorów filmowych, naprzemian z japońskiemi wachlarzami, a obok, pod wielkiem lustrem, widniała cała armja słoików i flakonów. Bajka o tych słoikach, z pomocą których kobieta pragnie uczynić się piękną i o aktorach, których fachem jest poniewieranie piękności kobiecej pod różnemi szerokościami geograficznemi, musiałaby być bardzo smutną. Ale na stole stały w szklanym wazonie ogromne czerwone róże, a obok leżał sztylet, wąziutki, piękny sztylet, o rękojeści zdobnej w połyskliwe rubiny. Więc opowiedział poeta o różach, które z pewnością zakochały się w sztylecie, dlatego, że był z koloru do nich podobny. Wychylały się więc ku niemu z wazonu, szepcąc długie opowieści o swojej ojczyźnie — wielkim, szumiącym parku, gdzie kwiaty na klombach malowało słońce. Sztylet zaś kochał róże, ale nie mówił im nic o tem. A kochał je, bo mu swą barwą przypominały krew. Nie rozumieli się zatem wcale. Sztylet był starej roboty i z pewnością musiano go kiedyś używać do zabijania. Teraz zaś służył tylko do rozcinania kartek sensacyjnych powieści, lub też do obierania pomarańcz. Przypominał lwa — poeta śmiał się z tego bardzo — lwa oswojonego, prowadzonego na różowej wstążce.

Potem kobieta pokazała gościowi w plusz oprawne album z fotografjami. Fotografia na pierwszej stronicy była całym obrazkiem. Widniał na niej ganek opleciony dzikiem winem, z wizerunkiem Matki Boskiej u góry. Na stopniach siedziała matka z malutkim dzieckiem na ręku, a obok dziewczynka w dużym, słomianym kapeluszu, jakie noszą pastuszkowie na wsi.

D. n.

*Lucja Knollówna.*

# MAŁE NIEDOLE ŻYCIA TOWARZYSKIEGO.

## BRIDGE

Niejeden słusznie zauważy, że to nie żadna mała niedola, a klęska żywiołowa. — Zgoda. Uważam jednak, że zjawiska ujemne należy pomniejszać, nie wyolbrzymiać — jestem optymistką i cechą tą usiłuję zarażać bliźnich.

Po zastrzeżeniu powyższem, przezornie uczynionem po to, by mnie nikt nie mógł pomówić o przesadę — przystępuję do meritum sprawy, czyli bezstronnego rozważenia ubocznych niebezpieczeństw, wynikających z panoszącej się coraz rozległej bridge'owej epidemji.

Piszę „ubocznych", bo co do samej istoty rzeczy, to już lasciate ogni speranza, czyli — przepadło. Bridge jest i będzie... w każdym razie jeszcze przez czas dłuższy.

— Ja gram, ty grasz, wy gracie, oni grają... Najważniejsze jest właśnie to, że — oni, to znaczy nasi znajomi i znajomi naszych znajomych będący w przytłaczającej większości. Niegrający staje się automatycznie wyrzutkiem towarzyskiego społeczeństwa i utrapieniem pani domu zerkającej tęskliwie ku zielonemu stolikowi, przy którym prawo gościnności nie pozwala jej zasiąść dopóki w granicach jej państwa przebywa chociaż jedna osoba „niemuzykalna".

Nie znaczy to oczywiście, by prawo to, w dobie konfliktów europejskich, stanowiło chlubny wyjątek i nigdy nie ulegało pogwałceniu; dzieje się przecie nie bez dokuczliwych wyrzutów sumienia u winowajczyni (wybitnie nie sprzyjających grze) ani — upokorzonej przykrości ofiary, pozostającej pod wrażeniem doznania rozmyślnej szykany.

Coraz więcej znam domów, do których niegrające połowy bridge'istów zapraszane są w sposób następujący: — Możecie przyjść, ale dopiero przed samą kolacją i pod tym warunkiem że wyjdziecie natychmiast po jej zjedzeniu.



Podobna, niepozbawiona wdzięku szczerość jest doprawdy humanitarniejszą, niż udręki wzajemnego przymusu, przy których jedna ze stron poświęca się, a druga poświęcenie to z kwaśno-słodkim uśmiechem przyjmuje, niby to się wymawiając: — Tylko się mną, kochanie, nie krępuj; siadaj, graj, jeżeli masz ochotę, a ja... poprzeglądam sobie pisma ilustrowane.

Niestety, system zapraszania „niemuzykalnych" pod warunkiem natychmiastowego ich zdematerjalizowania się po posiłku, daje się zastosować tylko wobec rodziny i najzażylszych przyjaciół; przy stosunkach choć cokolwiek ceremonjalnych — jest nie do pomyślenia.

Istnieje też zwyczaj zapraszania na zebrania wyłącznie bridge'owe tylko osób grających, z pominięciem reszty członków rodziny. Zwyczaj godny szacunku, jak wszelkie uczciwe postawienie sprawy, budzący jednak często urazy małżonek osamotnionych przez siedem wieczorów w tygodniu przez swych „zabrydżonych" mężów.

Z tych to żon rekrutują się najczęściej owe spóźnione neofitki bridge'a, z rezygnacją zasiadające przy kartowych stolikach: bo to jest modne, bo tak robią wszyscy i bo gra ich stały życiowy partner, albo — co ważniejsze — ten, którego pragnęłyby sobie na takiego partnera zdobyć.

Nie wiedzą — naiwne kobieciątka — że bridge, a flirt, jako gry, nie mają nic ze sobą wspólnego. Figlarne rozkapryszenia i urocze niedomówienia czarujące panów w żartobliwej towarzyskiej rozmowie — przy bridge'u nabierają charakteru poważnych wykroczeń. Niejedna piękna miłość uwiędła w pączku naskutek zalicytowanego nieoględnie szlemika; a takie odżywki, jak: — Ja mówię, małe, ale te malutkie kara mogą zniweczyć pracowicie uskuteczniane matrymonjalne zabiegi. Panowie stworzenia nie znoszą lekkomyślności w sprawach wagi tak doniosłej jak... bridge.

Znam wielce do siebie przywiązanych małżonków, nie grywających z zasady przy tym samym stoliku; są to ludzie mądrzy i przewidujący, oszczędzający swe szczęśliwe pożycie przed niebezpieczeństwem prób zbyt hazardowych.

Jak stwierdziłam już wyżej, w bridge'a grywają obecnie niemal wszyscy i niemal wszędzie: w domu i w klubie, w wagonie, w biurze i w poczekalni dentystycznej... gdzie i z kim się da. Cnotą rzadką i cenną jest pamiętanie przynajmniej o tem, gdzie się gra, a także i branie cokolwiek pod uwagę — z kim.

Człowiek grający w klubie płaci za karty i kolację i ma prawo stawiania wymagań; choć oczywiście, hałaśliwa awantura o źle ustawiony stół do gry, czy sfatygowane karty, w żadnych okolicznościach, nie przynosi gentlemanowi zaszczytu.

W domach prywatnych, gdzie nie płacimy gotówką, powinniśmy płacić uprzejmością i dobrą wolą dopomożenia gościnnym gospodarzom w ich skomplikowanych obowiązkach. Powinniśmy, ale tylko bardzo nieliczni poczuwają się do tej powinności.

Wszędzie grasują bezkarnie „osoby bliskie" (wyczerpujący referat o pladze „osób bliskich" — w niedalekiej przyszłości) oznajmiające władczo, że przybędą na bridge'a, ale tylko o tej a tej godzinie, grać będą wyłącznie z tymi a tymi, i to pod warunkiem, że gra rozpocznia się natychmiast (bo ja nie lubię tracić czasu na głupie gawędy z byle kim), że wstęp do pokoju, w którym ma się dziać misterjum, zostanie domownikom i innym gościom bezapelacyjnie zakazany, że kolacja będzie podana wcześnie i skomponowana z dań lekkostrawnych.



Tego rodzaju „osobami bliskiemi" należałoby nabijać armaty i strzelać niemi do Włochów lub Abisyńczyków (w zależności od indywidualnych sympatyj politycznych). Wobec rzadkości armat, a nadmiaru leniwej tolerancji w naszych stosunkach powszednich — dajemy tym sklerozom (szacunek winny czytelniczkom nie pozwala mi użyć określenia dobitniejszego), panoszyć się wśród nas i szarogęsić.

Znam wypadki, kiedy podobna osobistość (ciotka, przyjaciółka „od zawsze", czy teściowa), pod nieobecność gospodarzy, sprowadziła swoich partnerów, porozstawiała stoliki, a zastającym okupowany teren właścicielom oznajmiła oschle, że mają się zająć sprawą aprowizacji, a pozatem — nie przeszkadzać.

Najczęściej osoba tego typu bywa despotyczną organizatorką bridge'ów improwizowanych podczas zebrań towarzyskich. Przerywa ożywione rozmowy, rozłącza flirtujące pary, paniom tańczącym odbiera danserów. Muszą grać i koniec. Ktoś wymawia się przeprasza, tłomaczy, że jest niedysponowany, musi niezadługo wyjść, że nie przywykł grywać w tak mocnej partji.

— No to co? Najwyżej pan przegra; za naukę się płaci.

Przegrywa zazwyczaj; a nikt nie może wiedzieć, jaką to dla niego stanowi różnicę i w jakie może obfitować skutki.

Coraz częściej spotyka się w salonach nieskazitelnie usmokingowanych młodzińców i żurnalowo wytworne damy nie posiadające nawet paru złotych na powrotną taksówkę; nękanych nieznośną obawą przed sąsiedztwem zapalonego papierosa, czy rozlanem winem, zagrażającem ich gali, wybłaganej na „ten jedyny" wieczór od zamożnego kolegi czy ustosunkowanej przyjaciółki.

Tacy za nic się nie przyzna-

---

# Rozmowy Literackie

## Rosja, Francja, Polska i... Ameryka

Cztery ściany naszego cichego pokoju odgradzają nas od reszty świata w ten jesienny, pochmurny wieczór. Wszystkie podróże, o których marzyłyśmy w ciągu lata, wszystkie ciekawości przycichły w nas teraz z nastaniem ponurej niepogody. A jednak w łańcuchu dni, zaczyna być nam trochę ciasno, no poprostu nudno. Może ożywi nas trochę wieczorna rozmowa literacka, poszukajmy tylko książek, które otworzą przed naszą wyobraźnią cztery zamknięte ściany domu.

Chcemy podróżować poprzez kraje, czy poprzez wieki? Jedno i drugie, prawda. Zacznijmy więc od Rosji, od Rosji na przełomie wieku 17 i 18. Wprowadzi nas do niej znakomita książka Aleksego Tołstoja p. t. Piotr I-szy.

Nie jest to tylko powieść. Trochę „vie romancée" napisane z niesłychanym wyczuciem epoki i nieograniczoną wprost erudycją. Na książkę Tołstoja składa się kilka elementów. Przedewszystkiem bardzo ciekawie pojęta i pogłębiona psychologja Piotra Wielkiego, jej kształtowanie się w zależności od warunków życia i otoczenia. Piotr w książce Tołstoja jest zupełnie odbronzowiony. Autor bez żadnego zakłamanego pietyzmu odsłonił wszystkie słabe strony człowieka i pokazał całą wielkość władcy. Piotr-człowiek, niezręczny często, okrutny czy bezwzględny, wzbudza podziw, że przy całej swej niedoskonałości mógł dokonać tak wielkiego dzieła, jak wydobycie Rosji z odmętów ciemnoty.

Drugim z elementów, składających się na doskonałość książki, to doskonale scharakteryzowane ówczesne rosyjskie społeczeństwo: bojarowie źli i sprzedajni, nękana podatkami szlachta, nękany niewolą chłop. Z szarego tłumu ludzi, wybiera autor kilka nieprzeciętnych jednostek i każe im być wyrazicielami wieczystego buntu człowieka przeciwko istniejącej rzeczywistości. Główna akcja, zarówno jak i epizody podrzędne, wszystko to rozgrywa się na tle doskonale odmalowanych ówczesnych miast i wsi rosyjskich, wokoło nich przewala się oficjalna historja, uznana i znana, a jednak podana ze specjalną domieszką intymności, która czyni książkę zajmującą, wręcz porywającą. Wielkim plusem jest również styl. Bardzo obrazowy, mocny i jędrny, pozbawiony zbytecznych anachronizmów językowych, a jednak doskonale oddający nastrój dawnych czasów.

Książka jest nieskończona. Autor doprowadził zaledwie do okresu największego rozkwitu działalności Piotra i przerwał. Z przykrością odrywamy się od tej książki. Trudno. Odbędziemy nową podróż poprzez kraje i poprzez wieki i znajdziemy się we Francji wieku 18.. Zaprowadzi nas tam książka Zweiga p. t. Marja Antonina. Chociaż nie, zmienimy trochę marszrutę, bo najpierw zajedziemy do Wiednia, na dwór Marji Teresy i będziemy asystować przy wyjeździe pięknej księżniczki, Marji Antoniny na dwór francuski. Czeka ją tam narzeczony, Delfin, ociężały, poczciwy człowiek, przepych, bogactwo, zabawa, intrygi dworskie i... śmierć na szafocie. Wiemy o tem zgóry i dlatego czytamy piękną książkę Zweiga ze wzrastającem zdenerwowaniem. Wszelkie szczęśliwe i wesołe chwile królowej, wszelkie jej lekkomyślności zmierzają ku katastrofie i w żaden sposób zapobiec jej nie można.

Autor nie rzuca gromów na nieszczęsną królowę, ani też nie czyni z niej męczennicy na tronie. Zarówno jak Tołstoj swego Piotra, tak samo i Zweig Marję Antoninę uczłowieczył. Jest to tylko piękna, lekkomyślna kobieta, której złośliwie losy dały w rękę władzę, aby użyła jej jaknajgorzej.

Cała wielkość Marji Antoniny z Temple, a potem z Consiergerie nie pozwoliła nam zapomnieć o tej rozrzutnej, bawiącej się pani, która doprowadziła pośrednio do zguby dynastję Burbona. Ale losy jej wzruszają czytelnika. Jest to przedewszystkiem zasługa autora, który potrafił je podać w tak doskonałej, artystycznej formie. No i zasługa tłomaczki, Zofji Petersowej, która styl Zweiga oddała tak bez zarzutu.

Francja, wiek 18 — Polska, wiek 20-ty. W dni dzisiejsze przenosi nas doskonała powieść Romana Tuszowskiego p. t. Upały. Książka nieznanego dotąd autora, która uderza jak obuchem w łeb, niezwykła siła młodego talentu.

Epickość, zaklęte w niezwykłej wyrazistości obrazy wsi, przelewa się tu poprzez formy powieści, oszałamia czytelnika sugestywnością i prawdą.

Dwie osoby chodzą po tej książce: dziedzic i wiejska dziewczyna; jedna jedyna jest myśl: żar krwi, męki pożądania i zazdrości. A jednak to wszystko jest nowe, ciekawe, upajające. Przeżycia ludzi harmonizują z przeżyciami przyrody — młocka w stodole, prześwietlonej promieniami słońca ma urok miłosnej tajemnicy, zbieranie kartofli, jest klamrą wielu mocnych wzruszeń. Kto zna wieś, kocha ją i rozumie — zachwyci się książką Tuszowskiego. Kto jej nie zna — zachwyci się także, jeśli posiada choć trochę zmysłu artystycznego. Przybył nam mocny, rzetelny talent.

A teraz ostatni, podróżniczy skok do Ameryki, ściślej mówiąc do Hollywood. Prowadzi nas tam Janta-Połczyński przy pomocy swej książki p. t. Stolica srebrnej magji. Chodzimy po wyimaginowanych, nieprawdziwych miastach, spotykamy niezupełnie prawdziwych ludzi i chłoniemy ich tajemnice. W naszej podróży poprzez wieki i kraje dochodzimy wreszcie do zupełnego ich pomieszania w atelier filmowych, gdzie gotyk stoi obok drapacza chmur, a kościołek renesansowy przy pałacyku Trianon. Janta-Połczyński całą dziwność Hollywoodu ujął bardzo zręcznie i zajmująco. Niekiedy ma się wrażenie, że nie chce powiedzieć za dużo. Ale różnemi drogami chodzi niezależność pisarzy.

*Zofja Miszewska.*

ją, że zabawa jest dla nich za kosztowna, że nie mają właściwie prawa do gry na pieniądze. Wciągnięci „na czwartego" grają nerwowo i zachłannie, „bronią robra" zaciekle i bez przytomności. Jeśli przypadkiem wygrają, odchodzą od stolika z obojętnemi minami zblazowanych lordów i znudzonych ladies. Przegrani, płacą pieniędzmi przeznaczonemi na jutrzejszy obiad albo opłatę komornego, albo też... z nonszalancko zawstydzonym uśmiechem proszą gospodarzy o pożyczkę na wieczne nieoddanie.

Zresztą gospodarze zasługują w zupełności na podobne „ukaranie grzywną" za to, że przyjmują osoby, o których możliwościach płatniczych wiedzą zbyt mało, lub, co gorsze, wiedząc o czyjejś niezamożności — pozwalają na wciąganie go do drogiej gry.

Bo przecie, podobno, bridge ma należeć do przyjemności, a przyjemność nie może być wynikiem cudzej krzywdy. Przyjemność ludzi przyzwoitych, szczycących się tem mianem.

*Jadwiga Kiewnarska.*

## Z półek księgarskich

**Główna Księgarnia Wojskowa w Warszawie**, trzymająca zawsze rękę na pulsie życia narodowo-społecznego, lansuje szereg cennych dzieł, które wzbudzą zainteresowanie czytelniczek:

**„Ku nieśmiertelnej sławie"** — E. Wachnowskiej, rzecz o Józefie Piłsudskim, zawsze droga sercu Polaka.

**W Czerwonej Niewoli** — Konrada Jotemskiego. Szereg opowiadań z żołnierskiej doli i niedoli. Pióro barwne, żywe, soczyste. Młodzieńczy humor i męska łza snują się przez tkaninę opowieści, jak pąsowa i srebrna nić. Czyta się jednym tchem, odkłada ze smutkiem, że tomik taki... szczupły.

**„Wiosna Grecka"** — H. Malewskiej, **„Szermierka, Łucznictwo, Strzelanie"** zespołu autorek z Wiktorją J. Goryńską na czele. **„Narciarstwo Polskie"** Dr. H. Jabłczyńskiej-Jędrzejowskiej. **„Uszkodzenia Sportowe u Kobiet"** — Dr. Adolfa Wojciechowskiego. **„Turystyka górska i nizinna"** — Dr. J. Pągowskie, Z. Wołowskiej i Haliny Żółtowskiej.

**Wydawnictwo E. Wegnera w Poznaniu** ofiarowuje czytelnikom w prześlicznem wydaniu:

**„Cuda Polski"** (Piękno Przyrody, Pomniki, Zabytki Dziejów) **Rafała Malczewskiego.** Dzieło to ozdobi każdą bibljotekę i zadowoli wybredne wymagania ludzi, zdolnych kochać książkę dla książki.

**„Nauczycielka"** Antoniego Ossendowskiego, którego swoisty talent naratorski uwodzi zawsze czytelnika, uwiedzie go i tym razem...

# W imieniu prawa

## Nie dajmy się wyzyskiwać

W drodze powrotnej z biura do domu, Marta przystawała przed wystawami, ciesząc oczy urokiem kwiatów, wykwintem futer, prostotą, linją nowoczesnych mebli. Przystanęła przed witryną wielkiej księgarni; książki były poukładane tak kunsztownie! Same nowe, nieznane, interesujące. Przyjemność czytania bardzo się potęguje, jeśli książka obok treści ma i formę piękną. Książki z czytelni! Czytelnicy wykazują prawdziwy głód książki, która wygląda, jakby ją ludzie jedli, albo przynajmniej nadgryzali... Te są jak pieścidełka. Ta na prawo nęci oczy doborem koloru okładki i rysunku.

Jaki autor? Co? Oczy Marty zrobiły się okrągłe z zainteresowania. Na okładce luksusowo wydanej książki widniało nazwisko właściciela biura, w którem Marta pracowała. Wchodzi do sklepu. Przewraca szybko kartki podanej książki. Treść dobrze znana; przy opracowywaniu jej dyrektor posługiwał się materjałami, których ona, Marta, mu dostarczyła. Dawał jej do tłomaczenia dzieła w obcych językach, nad któremi musiała pracować w domu. W biurze nie byłoby na to czasu i odpowiedniego spokoju. Dyrektor prosił o pośpiech, bardzo mu na tem zależało. A potem, — potem wydał książkę, a jej nawet nie zaproponował wynagrodzenia. Przypomniała mu raz sprawę „pozabiurówek", otrzymała odpowiedź, że nie powinna nawet myśleć, aby w obecnych warunkach biuro płaciło dodatkowe wynagrodzenia.

Dotychczas Marta nie wiedziała, jaki użytek dyrektor zrobił z jej tłomaczeń. Jeśli wydał książkę, w której opierał się na informacjach, przez nią dostarczonych, to w nieładny sposób wyzyskał jej pracę. Postanowiła upomnieć się o swoje.

Po przyjściu do domu, zatelefonowała zaraz do swej przyjaciółki, Anny, prawniczki, biorącej czynny udział w życiu społecznem i umiejącej dawać rady w niejednej sprawie. Anna była rzeczowa i ścisła.

„Jaka suma należy ci się od biura"? — według twych obliczeń przeszło 200 złotych? Oczywiście, Marto, udaj się do sądu pracy.

Czemu nie do sądów powszechnych? — bo ta sprawa zupełnie wyraźnie podlega kompetencji takich sądów specjalnych, jakim jest Sąd Pracy. Cały jego ustrój oraz skład osobowy dostosowany jest do charakteru spraw rozpatrywanych. Poza przewodniczącym lub jego zastępcą, w skład Sądów Pracy wchodzą jeszcze ławnicy, którzy w połowie rekrutują się z pracodawców, w połowie z pracowników. Pytasz, kto ich wybiera? Nie są oni wybierani. Mianuje ich, tak zresztą, jak sędziów — Minister Sprawiedliwości. Ale ławnicy są reprezentantami organizacyj pracowniczych, gospodarczych i t. d. Instytucje te przedstawiają Ministrowi listę kandydatów, z pośród ludzi, do których mają pełne zaufanie. Któż bardziej, od tych ludzi, może być powołanym do rozstrzygania sporów, które wynikły podczas pracy? Może cię to, jeszcze Marto zainteresuje, że Napoleon był pierwszym, który wprowadził ten typ sądów.

Gdybyś zażądała za swe tłomaczenie od dyrektora ponad 10 tysięcy złotych, musiałabyś sprawę oddać do sądów zwykłych.

— 10 tysięcy złotych za tłomaczenie! Żartujesz?

— Pewno, że żartuję; ale są i takie wypadki. Nie potrzebujesz brać adwokata. Sama przedstawisz jasno sprawę, resztę uczyni za ciebie sąd pracy.

Marta z uśmiechem odłożyła słuchawkę i pomyślała: „Jak wygram sprawę, kupię sobie 10 najpiękniejszych książek".

W niedługim czasie Marta otrzymała zadośćuczynienie. Wykazała, że dyrektor wyzyskał jej pracę przy wydawaniu swej książki. Sąd Pracy nakazał wypłacenie wynagrodzenia, za które kupiła wreszcie dzieła swych najulubieńszych pisarzy.

*K. Tuwanówna.*

# Gentleman nosi



Przed południem gentleman nosi marynarkę jedno- lub dwurzędną, z materjału przerabianego (niezbyt jasnego, bo to prawie listopad). Przesadnie szerokie spodnie i wypchane do szerokości nadnaturalnej ramiona, stanowią już muzykę przeszłości, coś niby rewjowy przebój z przed dwóch lat, czyli coś zdecydowanie nieprzyjemnego. Zresztą ramiona, zawsze jeszcze sztuka krawiecka cośkolwiek poszerza, — cośkolwiek, to znaczy — nie zanadto.

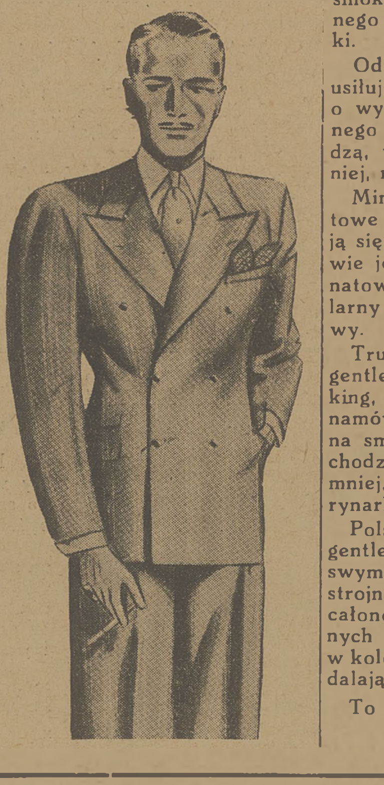
Moda obecna zezwala na kolory dość fantazyjne, jak sinofioletowawe odcienie szarego i granatowego, jednak, najpewniejszym towarzyszem godzin biurowych, bywa marynarka kamienno-szara, lub marengo. Bardzo modne skompletowanie przedpołudniowego garnituru stanowią półbuciki z reniferu bronzowego, albo bardzo ciemno-szarego; jednak gentleman o niezbyt grubo wypchanym portfelu (te pojęcia coraz rzadziej niestety chadzają w parze), będzie wolał czarne boxcalf y, czy gemzy, które znajdą zastosowanie i przy ubraniu popołudniowem.

Popołudniu gentleman nosi garnitur ciemny, jednokolorowy. Ostatnie kanony dopuszczają subtelne, ledwie dostrzegalne nitki białych pasków, na granatowem tle. Czarna marynarka do spodni, w czarno-stalowe paski, stanowi klasyczny strój wizytowy: żakiet zostawić można na wyłączny użytek dyplomacji.

Kamizelki nosi się obecnie najczęściej z tej samej tkaniny, co garnitur, jednak niektórzy z wielkich krawców angielskich lansują do marynarek granatowych, kamizelki beżowe i takież gietry.

Większość spodni miewa w dole wąskie, dokładnie zaprasowane mankiety.

Na ulicy gentleman nosi w sezonie późno-jesiennym, palto wcięte, czarne, albo ciemnoszare. Kapelusz miękki, filcowy, o niezbyt szerokiem rondzie. Klasyczny ubiór głowy do wciętego angielskiego palta, stanowi melonik. Jest to jednak kapelusz tak wybitnie nieawantażowny, że gentleman decyduje się na włożenie go dopiero po długich naradach z lustrem. Cylinder, podobnie jak żakiet— patrz wyżej.





Wieczorem gentleman nosi smoking, pozostawiając frak tylko na wyjątkowe uroczystości. Paryż lansuje dwa, równolegle modne, typy smokingów, jedno i dwurzędne. Smoking jednorzędny miewa dół zaokrąglony i jest nieco krótszy od smokinga dwurzędnego, zapinanego na dwa przeciwległe guziki.

Od paru lat, krawcy paryscy usiłują przekonać świat męski, o wyjątkowych zaletach ciemnego granatu, który, jak twierdzą, wieczorem wygląda czarniej, niż sama czerń.

Mimo tych zapewnień, granatowe smokingi i fraki przyjmują się dość opornie. W Warszawie jedynym właścicielem granatowego smokinga jest popularny aktor i reżyser operetkowy.

Trudno namawiać polskiego gentlemana na granatowy smoking, lecz bardzo chciałabym namówić go na smoking wogóle, na smoking zawsze, o ile wychodzi wieczorem. A przynajmniej, na ciemną, wizytową marynarkę.

Polscy gentlemani (czy aby gentlemani?), towarzyszący swym przepisowo i wieczorowo strojnym małżonkom, podczas całonocnych przyjęć — w jasnych marynarkach i koszulach w kolorowe paski, — ponuro oddalają Polskę od Europy.

To nawet niepatrjotyczne...

*Well.*



# Dbajmy o zdrowie i urodę

## Racjonalne odżywianie

Ogół naszego społeczeństwa hołduje ciągle jeszcze przestarzałemu poglądowi, że obfite pożywienie — to podstawa zdrowia i fizycznej tężyzny. Przekonanie najzupełniej błędne. Racjonalne odżywianie się utrzymuje organizm „w formie", — nadmiar substancyj odżywczych — niweczy zdrowie, piękność fizyczną, przyśpiesza starość, rujnuje kieszeń.

Gdybyśmy chcieli, z ołówkiem w ręku, obliczyć równowartość pochłanianych pokarmów, przekonalibyśmy się, że około 60% naszych zarobków zabierają nam piekarze, rzeźnicy, kupcy towarów kolonjalnych i cukiernicy. Od trzydziestgo roku życia, mniej więcej, konstatujemy chroniczne niedomogi naszego organizmu i stajemy się stałą klijentelą lekarzy.

Narzekamy również na drożyznę życia, na brak pieniędzy, na niemożność pozwolenia sobie na wykwintniejsze ubranie, mieszkanie, na zaprenumerowanie pisma lub nabycie książki.

Przeciętny obywatel Stanów Zjednoczonych wydaje na pożywienie 35 procent swych zarobków. W niektórych zaś krajach Europy, i to najkulturalniejszych, procent ten bodaj jeszcze się obniża.

Oto tabelka substancyj odżywczych, pochłanianych przeciętnie w ciągu jednego dnia przez obywatela Danji, w roku 1918, gdy śmiertelność w tym kraju była procentowo najmniejszą, w porównaniu z innemi państwami:

| | |
|---|---|
| Mięsa, ryb, słoniny. . . . | 56 gr. |
| Tłuszczu, margaryny . . . | 45 „ |
| Mleka . . . . . . . . . . | 250 „ |
| Chleba . . . . . . . . | 500 „ |
| Kartofli . . . . . . . . . | 625 „ |
| Owoców i jarzyn. . . . . | 125 „ |

Nie sądźmy, iż Danja jest krajem biednym, który zmuszony jest ograniczać swych obywateli w nabywaniu i konsumowaniu środków żywnościowych. Wręcz przeciwnie. Jest to jedno z najbogaciej uposażonych w tym względzie krajów i wstrzemięźliwość Duńczyka w jedzeniu i piciu przypisać należy tylko rozumnemu ustosunkowaniu się jego do zagadnień odżywiania się i higjeny.



## Soki owocowe i jarzynowe

System kuracyj owocowych i jarzynowych, rozpowszechniony na zachodzie Europy, znajduje i u nas coraz liczniejsze zwolenniczki: Kuracja ta, przeprowadzona umiejętnie — oczyszcza i odradza organizm, — odmładza, przywraca lub potęguje piękność. — Soki owocowe i jarzynowe stanowią też pożywkę bezcenną dla dzieci, osób słabych, starców i powracających do zdrowia, po ciężkiej chorobie.

Najracjonalniejszem jest używanie samych soków jarzynowych, lub owocowych, oczywiście surowych, przy równoczesnem odrzuceniu miazgi. Przemysł skonstruował już w tym celu odpowiednie maszynki do wytłaczania soków. Dla wykorzystania tego przyrządu — należy jarzynę uprzednio utrzeć na tarce lub pokrajać i posiekać w specjalnej maszynce do siekania, uwolniwszy masę uprzednio od części twardych, a w owocach — od pestek i twardych części wewnętrznych i zewnętrznych. — Następnie miazgę otrzymaną włożyć do maszynki do wytłaczania i manipulując odpowiednio tłokiem, wycisnąć zawartość płynną tak, aby miazga nie pozostała zbyt suchą, gdyż mogłoby to uszkodzić przyrząd.

Niektóre owoce np. porzeczki, borówki, żórawiny należałoby uprzednio ogrzać, tak, aby popękały ich skórki, a wówczas galaretowata zawartość owocu, która na zimno spływa z trudem, łatwiej ulegnie oddzieleniu.

Sok z jarzyn, po wyciśnięciu, należy jeszcze przed użyciem przefiltrować.

Tłoczenie soków powinno się odbywać nie później, jak na 2 do 3 godzin przed spożyciem. Przechowywać (przykryte) w chłodzie.

## Pielęgnacja twarzy

Skóra twarzy ulega szybszemu wysuszeniu, niż skóra ciała. Składają się na to przyczyny wewnętrzne, jak zła funkcja gruczołów, działają i wpływy zewnętrzne: powietrze, wiatr, słońce, zmiana temperatury. Suchość skóry jest w skutkach zabójcza dla urody, powoduje bowiem przedwczesne zmarszczki nawet u młodych osób.

Starożytni Grecy nasycali skórę tłuszczami zwierzęcemi w stanie świeżym (nie zjełczałym). Używali też oleju roślinnego. Współczesna kosmetyka opiera swoje produkty przeważnie na podstawie tłuszczów mineralnych, które skóra przyswaja z trudnością. Do najbardziej wskazanych należy zaliczyć lanolinę, jako łatwą do przyswojenia.

Kobiety dbające o świeżość cery stosują nakładanie maski z tłuszczu, którą pozostawiają na twarzy 15 do 20 minut, a potem zmywają ciepłą wodą, mydłem i miękką szczotką.

Jedna ze słynnych piękności paryskich zawdzięcza temu zabiegowi swą przedziwną, różaną cerę, pomimo przekroczonej sześćdziesiątki.

Takie pocieranie twarzy szczotką, oczywiście niezbyt twardą, przyspiesza i wzmaga dopływ krwi do tkanek twarzy, zabarwia skórę odcieniem płatka różanego, uwalnia ją od wągrów. Po starannem opłókaniu naskórka letnią wodą dobrze jest położyć na chwilę kompres z wody ślazowej, łagodzi to pieczenie, jakie zaznacza się szczególnie u skór wybitnie dalikatnych i wrażliwych, a nieprzyzwyczajonych do szczotkowania.

V.

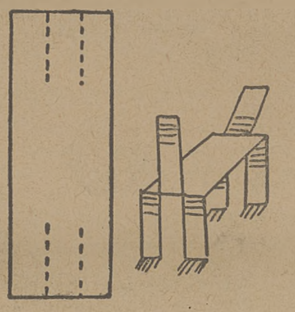
# Dla Naszych dzieci

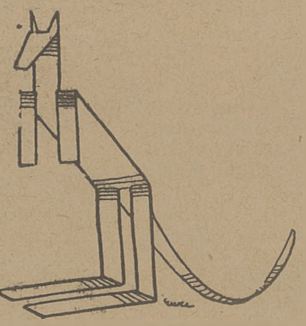



Zabawimy naszego syneczka zwierzątkami z kartonu. Będzie ta robota trwała krótko, a zaroi się od zwierzątek na naszym dziecinnym stole.

Z kartonu wycinamy podłużny prostokąt, nacięty po obu stronach na trzy części. Ten prostokąt — to prawie wszystko. Nacięte dwa paski od brzegów — to łapy, pozostałe dwa — to ogon i głowa. To jest szkielet zasadniczy każdego zwierzęcia i prosty schemat. Łapy zaginamy ku dołowi, głowę z szyją do góry, a ogon, — to zależy od humoru zwierzęcia. Dopiero obserwując poszczególne cechy zwierzęcia, możemy modyfikować nacięcia.





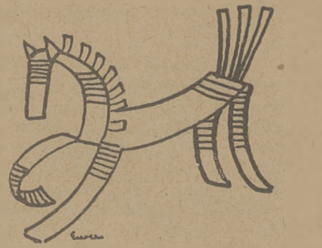


Przyglądając się podanym rysunkom, łatwo zrobić żyrafę, wielbłąda, zebrę, taksa i kangura. Oczywiście, że pierwsze cięcia nożyczek będą nieśmiałe lub za śmiałe i posypią się niezliczone skrawki pociętego kartonu. Utrafimy jednak na proporcje prostokąta i nacięć po małym trudzie

Prostokąty muszą być wąskie na 1,5 cm., a mogą dochodzić do 15 cm długości Oczywiście, że smukłe zwierzęta jak antylopy, żyrafy, mogą być węższe niż 1,5 cm. Karton musi być giętki jak pocztówka, aby się zginał a nie łamał

*Ewa*





# Naszą Pierwszą Ankietę ogłoszoną w Nr. 2 Tygodnika Kobiety

**Na temat:**

## „Jaka jest najżywotniejsza troska Pani Domu i jak na nią zaradzić należy"

uzupełniamy wyszczególnieniem nagród, jakie Ogólna Poradnia Gospodarcza przeznaczyła dla osób wyróżnionych za prace konkursowe:

1. **Materjał na suknię wizytową z f-my Goldkopf, Bielańska 19**
2. **Organdynowy haftowany garnitur do kawy na 6 osób z firmy Linda, Wierzbowa 6.**
3. **2 żelazka gazowe z podstawką — Gazownia Miejska.**
4. **Komplet do herbaty z ogniotrwałego szkła jenajskiego.**
5. **Kuchenka gazowa dwupalnikowa z firmy Serkowski.**
6. **Komplet kosmetyków Antiba.**
7. **Roczna prenumerata „Tygodnika Kobiety".**
8. **Lampa-abażur z firmy Coqui, Wierzbowa 6.**
9. **Broszka — z firmy Bézé, Marszałkowska 151.**
10. **Figurka fabryki Pacyków — z firmy Łakomski, Bracka 20.**
11. **Bomboniera z czekoladkami — z firmy E. Wedel.**
12. **Grzałka elektryczna Ro-Patent.**
13. **Serweta haftowana — Ukraińska Sztuka Ludowa, Marszałkowska 97-a m. 2.**
14. **NAGRODA DLA PANA: Garnitur, składający się z ciepłego szala i krawata z firmy Chojnacki, Marszałkowska 109.**

Nagrody będą wystawione od dn. 1-go grudnia w gablotkach Wzorowni Ogólnej Poradni Gospodarczej, ul. Św-Krzyska 17 m. 3. W skład jury konkursowego wchodzą, Panie: **Elżbieta Kiewnarska, Ellen Bychowska, Wanda Dobrzańska i S. Borowska**

Termin nadsyłania prac konkursowych upływa z dniem 1-ym stycznia 1936 r.

O dniu uroczystego rozdania nagród powiadomimy Panie Czytelniczki na łamach „Tygodnika Kobiety".



# Nie mam co włożyć

Nie mam co włożyć — jakże często stajemy wobec takiego zagadnienia, gdy zajrzymy do szafy z podniszczoną garderobą, a chciałybyśmy być modne i ładnie ubrane.

Nie mam co włożyć — granatowa wełniana suknia, dobra na popołudniu, ma rękawy podarte pod pachami, a sweter bronzowy po praniu zrobił się dziwnie wąski w ramionach. W dodatku nieznośne mole wygryzły mu dziurkę na samym przodzie.

Znajdziemy na to wszystko radę. U sukni wyprujemy rękawy, dobre kawałki użyjemy na zrobienie kołnierzyka, przymarszczonego z przodu i trochę naddanego paska.

Z modnej tafty w dyskretną kratę w kolorach odpowiednich do sukni zrobimy rękawki — bufki (na szczęście krótkie rękawy są modne). Rękawy zeszyjemy z dwóch pasów tafty, jeden wzdłuż deseniu, drugi wpoprzek

Na ramionach zrobimy riusze-motyle, podsunięte z przodu pod kołnierzyk, a lekko stojące ku tyłowi.

Kamizelka przymarszczona przy wycięciu i guziki na pasku wykończą całość sukni, która będzie napewno, jak nowa.

A sweter? i na to znajdziemy radę.

Z cienkiej wełny w tym samym kolorze, lub podobnym cieniu zrobimy na drutach cztery paski szerokości 4—5 cm. Obrobimy je brzegiem naddając dużo, aby otrzymać suto nadmarszczone falbanki.

Przyszyjemy je na ramionach, jak wskazuje nasze zdjęcie, a na nieszczęśliwym, dziurawym przodzie wyhaftujemy jasną wełną, np. cytrynową, fantazyjnie powiązany monogram. Sweter rozszerzy się w ramionach i będzie naprawdę odświeżony.



## KIESZONKA NA CHUSTECZKI DO NOSA



*Mamusia ma śliczną aksamitną suknię. Zostały skrawki aksamitu, które oddała krawcowa, — „może przydadzą się na co"! Zrobimy z nich małą niespodziankę dla naszej córeczki. Właśnie tak bardzo potrzebuje kieszonki na chusteczkę do nosa, którą ciągle gubi i której ciągle szuka. Uszyjmy jej kieszonkę w kształcie głowy kotka. Albo to będzie kot Feliks, taki jak na groteskach filmowych, albo zwyczajny poczciwy Maciuś. Kot Feliks ma oczy i nosek naszyte z białego sukna, a pyszczek wyszyty włóczką. Maciuś ma oczy z zielonych guziczków, a nosek z różowego sukna, rysy zaś szanownej fizjognomji wyszyte białą puszystą wełną. Uszki uszyte osobno i zlekka przymarszczone do przedniej części głowy. Kieszonkę zszywamy z dwóch jednakowych połówek i wykańczamy ładną jaśniejszą podszewką, a za uszkami przyczepiamy wstążkę, na której zawiśnie przez ramię kieszonka.*

*Już nasza maleńka córeczka nie szuka chusteczki i bardzo polubiła kieszonkę — kotka.* *E W A.*

# W OBRONIE DNIA POWSZEDNIEGO

### Humory

Znamy je wszystkie, te nieszczęsne „humory" naszych domowników, no i przyznajmy się — nasze własne.

Człowiek o równem, pogodnem usposobieniu, o głębokiej kulturze, która nie pozwala na uzewnętrznianie nastroju, to coś w rodzaju białego kruka, rzadko kiedy wijącego gniazdo na polskiej ziemi.

Uniesienie, przygnębienie, wybuchy radości, czy gniewu, zaznaczane urazy, jaskrawe wyróżnianie osób darzonych wybitną sympatją, na niekorzyść tych, które nam są mniej miłe, no i nerwy, nerwy, nerwy!

Wszystkie te cechy braku opanowania, braku samodyscypliny stwarzają specjalną atmosferę przeładowaną psychiczną elektrycznością, gorzej, że udzielają się otoczeniu, narzucają z siłą, której trudno przeciwdziałać.

Możnaby jeszcze usprawiedliwić kogoś kto rzeczywiście nie może, czy nie umie panować nad sobą. Ale ten sam osobnik umie jednak doskonale oblec się w maskę uprzejmej pogody jeżeli ma do czynienia z obcemi ludźmi.

Ileż my wszyscy mamy cnót na pokaz, cnót pozadomowych, których w żaden sposób nie chcemy przeszczepić na teren dnia powszedniego.

Biedny ten dzień powszedni wschodzący pod znakiem rozdrażnienia pana domu objawiającego się nieraz w sposób bolesny i raniący; nerwów pani domu, którą byle drobiazg pobudza do niesprawiedliwości i uniesienia; „odęcia" pomocnicy domowej urażonej jakoby w swojej miłości własnej, czy drażliwości fachowej.

Pan idzie do pracy, musi wśród ludzi zdobyć się na uprzejmość i pogodę; pani poza ścianami domu nie może sobie pozwolić na „nerwy"; wreszcie pomocnica domowa napewno rozpogodzi swoje oblicze z chwilą gdy w zaprzyjaźnionym sklepie, czy maglu spotka znajome i pozwoli sobie na dłuższą z niemi gawędę. Gdyby chociaż to przymusowe odprężenie chciało przetrwać, wygładzić powierzchnię naszego humoru, ale gdzież tam! Wracamy do domu i tak jakbyśmy wyjmowali jakiś ukryty przedmiot z ukrycia „wyjmujemy" odsunięte na chwilę nastroje, uważając poniekąd za swój obowiązek kultywowanie ich nadal.

Terenem porachunków bywa zwykle stół jadalny, który w przeciwieństwie do praw obowiązujących go na zachodzie, u nas staje się zwykle polem walki. Jeżeli nie wyraźne docinki, to grobowe milczenie, jeżeli nie sprzeczka i pretensje, to chociaż wyrzekania.

Trudno się dziwić, że po takim wstępie reszta dnia upływa pod znakiem zniechęcenia do życia, że temperatura uczuć chłodnie, że każdy idzie swoją drogą, zaczyna stronić od domu, szuka poza nim rozrywki i wypoczynku.

Wprawdzie „humory", jak chmury! przesuwają się po niebie, znikają, wygląda z poza nich znów słońce. Ale zostawiają rysy, których nic wygładzić nie zdoła, mącą atmosferę dobrego porozumienia, nawarstwiają się zniechęceniem.

Ten brak dobrego wychowania na codzień, który pozwala w domu na zaniedbaną tualetę i uzewnętrznianie niehumoru, to wróg naszego dnia powszedniego, w którego obronie musimy pracować nad zwalczaniem złośliwych bakteryj zakażających harmonję i pogodę.

*Wanda Dobrzańska*

## Pokaz gotowania ryb Związku Organizacyj Rybackich Rz. P. i Związku Pań Domu — oddz. warszawski

Tłum na sali, tłum w przejściu, tłum na galerji!

Gdyby to nie była sala Towarzystwa Rolniczego, lecz Teatr Polski, a nawet może Wielki Teatr, zapewne też zostałyby zapełnione przez zastępy pań domu i ich pomocnic, — ostatni objaw dodatni, bo te ostatnie nie bardzo lubią się uczyć.

Na estradzie młodziutka instruktorka i energiczny, bajecznie sprawny mistrz kunsztu kulinarnego. Na stole stosy ryb, jarzyny, grzybki, jaja, konserwy — wszystko, co musi być przy pokazie pod ręką. Pod trzema ścianami dużej sali, długie stoły, a na nich szeregi już gotowych, ślicznie udekorowanych półmisków z zimnemi rybami: w majonezie, w galarecie, faszerowanych, po grecku, w sałatkach i t. p.

Jesteśmy na pokazie sprawiania, gotowania i estetycznego podawania ryb słodkowodnych.

Związek Organizacyj Rybackich R. P. pod egidą Warszawskiego Oddziału Związku Pań Domu, chcąc jaknajbardziej rozpowszechnić spożycie ryb krajowych, urządził ten pokaz w celu nauczenia ich smacznego przyrządzania i estetycznego podawania.



*Instruktorki Z. P. D. panie Krystyna Albrechtówna i kuchmistrz pan Kolodziejczyk przy pokazie sprawiania ryb.*

Spracowały się panie z Zarządu Z. P. D. ofiarne jak zwykle, gdy chodzi o szerzenie praktycznej wiedzy gospodarczej.

Rezultat jednak tej pracy przeszedł wszelkie oczekiwania. Słuchacze i słuchaczki słuchali z uwagą i śledzili każdy ruch demonstratora, każde słowo prelegentki. A cóż dopiero się działo przy próbowaniu tych przysmaków. Ze stołu, gdzie były ryby na sprzedaż, wszystko wykupiono w jednej chwili, — do domów.

Na galerji, młoda brać dziennikarska tak głośno dawała wyraz zachwytom nad spożywanemi rybami, zakrapianemi wyrobami monopolu, że niezawsze było słychać bardzo wyraźny głos prelegentki.

Dowiedzieliśmy się, że produkujemy w Polsce niemniej 21.000 kg. ryb słodkowodnych. W tem około 10 tysięcy kg. samych karpi, tych karpi, co to obecnie już należą do zwierząt domowych, hodowanych w stawach tak, jak się hoduje kaczki i kury w kurnikach. Poza tą poważną cyfrą, dużą ilość karpi i ich stałych współlokatorów stawowych — karasi, spożywają właściciele stawów i — niestety — złodzieje ryb. Te ilości, oczywiście,

nie są zarejestrowane Liny, które zagranicą, a głównie w Niemczech, stanowią przedmiot hodowli stawowej, u nas jeszcze pochodzą z jezior większych. Powolny przyrost tej najsmaczniejszej za słodkowodnych ryb, przy naszym braku kapitałów, sprawia, że hodowla lina jest dotąd deficytowa.

Innych, najczęściej spotykanych ryb słodkowodnych, Polska produkuje 11.000.000 kg. w tem są: sandacze, leszcze, szczupaki, liny, miętusy, sigi, okonie ,sielawy, ślizy i inne.

Pomimo tak dużej produkcji ryb słodkowodnych i zupełnej naszej w tej dziedzinie samowystarczalności, dzięki różnym umowom -handlowym, importujemy jeszcze około 1.000.000 kg. sandaczy z Bolszewji, karpi z Węgier, szczupaków z państw Nadbałtyckich.

O tę ilość, a nawet o znacznie większą moglibyśmy powiększyć naszą produkcję — gdybyśmy się nauczyli jeść częściej ryby.

Gdybyśmy, choć raz na tydzień, w ten postny piątek, zechcieli wprowadzić rybę do naszych jadłospisów. Wszak niektóre ryby, a szczególniej karpie, już się zrównały w cenie z mięsem wołowem, a jeżeli uwzględnić małą wagę ości w rybie, w stosunku dużej wagi kości w mięsie, — są tańsze od cielęciny i baraniny.

Jaką ogromną rolę gra gospodarstwo rybne w całokształcie gospodarstwa krajowego, pomogą nam uprzytomnić sobie następujące cyfry:

**Rybaków** w Polsce mamy 22.000, czyli łącznie z ich rodzinami, około 100.000 osób; cała armja, której egzystencja zależy od dostatecznego zbytu, a zatem spożycia ryb słodkowodnych.

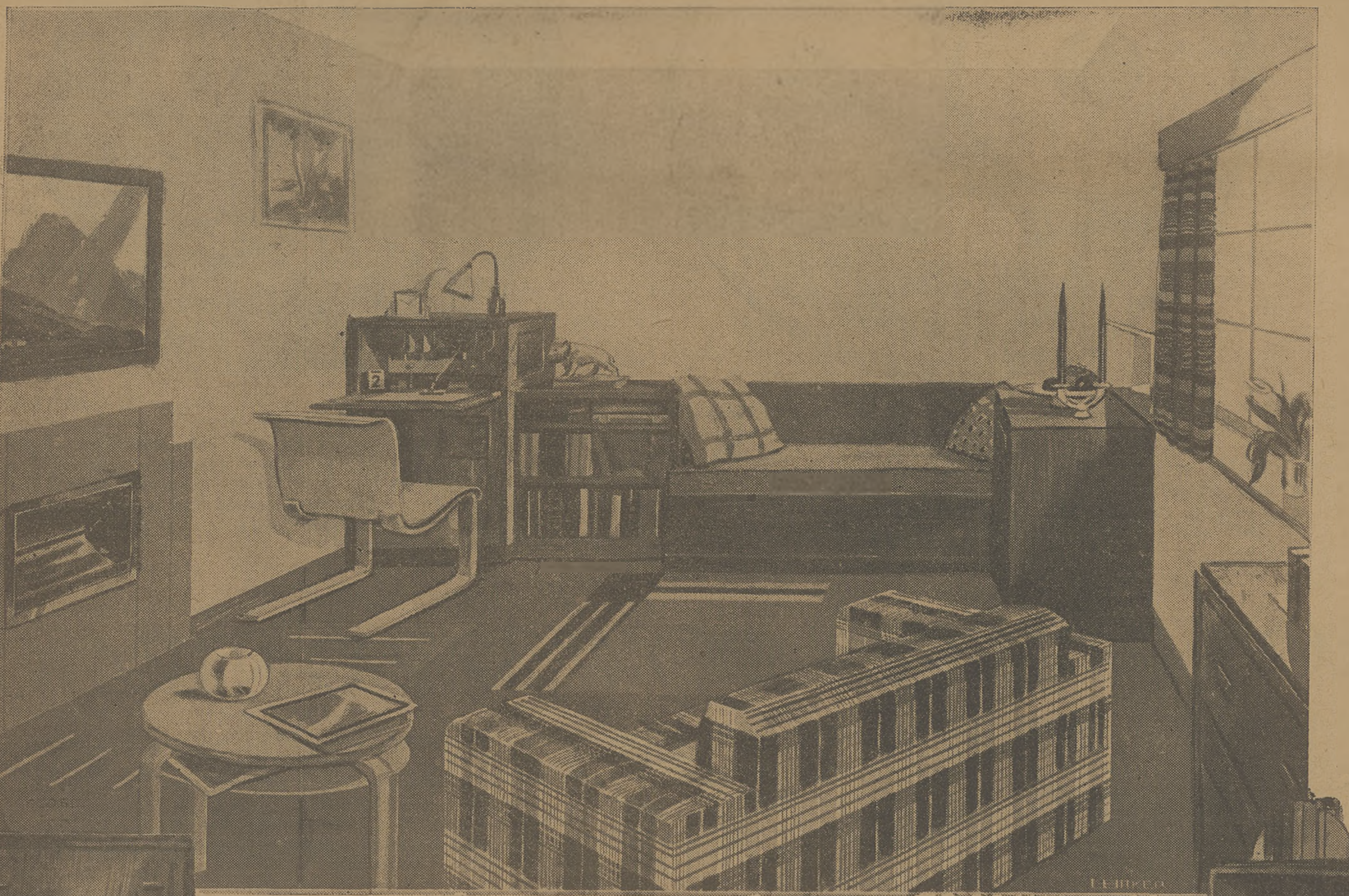
W Polsce istnieje cały szereg stowarzyszeń rybackich: Zrzeszenie Gospodarstw Stawowych R. P. posiada swe oddziały w różnych dzielnicach kraju (Wilno, Bielsk, Lwów, Lublin, i inne). Rybacy jezior i rzek skupiają się w lokalnych organizacjach fachowych jakoto: Wielkopolskie i Pomorskie Towarzystwo Rybackie w w Bydgoszczy, Krajowe Towarzystwo Rybackie w Krakowie i inne. Nawet sport wędkarski ma swój „Związek Sportowych Towarzystw Wędkarskich".

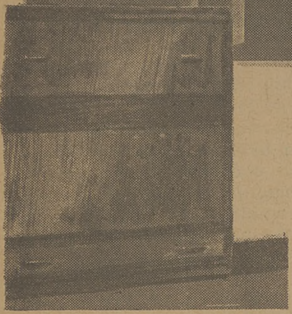
Wszystkie te stowarzyszenia łączą się w „Związku Organizacyj Rybackich R. P., który jest naczelną reprezentacją rybactwa słodkowodnego.

Głownem zadaniem tej naczelnej organizacji, jak zresztą wszystkich poszczególnych, jest dążenie do najlepszego zorganizowania produkcji i zbytu produktów gospodarki rybnej, na wodach naturalnych i sztucznych, obrona interesów rybactwa i przedstawicielstwo u władz rządowych tej gałęzi produkcji.

Prace Naczelnej Organizacji Rybackiej R. P. idą w kierunku: 1) energicznego zwalczania ryby importowanej i 2) zwiększenia wewnętrznego spożycia na drodze propagandy.

*Elżbieta Kiewnarska.*





# Mieszkam w jednym pokoju

„Jeden pokój" przestał być wykładnikiem upośledzenia.

Można w nim uwić gniazdo wygodne, estetyczne, wesołe, niepozbawione cech piękna opartego na podstawach wytwornej prostoty.

Linja, po której idzie dzisiejsza sztuka urządzania wnętrz uwzględnia w pierwszym rzędzie praktyczną użytkowość. Nie lubimy przeładowania. Dążymy do wolnej przestrzeni, do komponowania sprzętów, które nietylko mają wyraźne zastosowanie, ale podwójne, a nawet i potrójne oblicze.

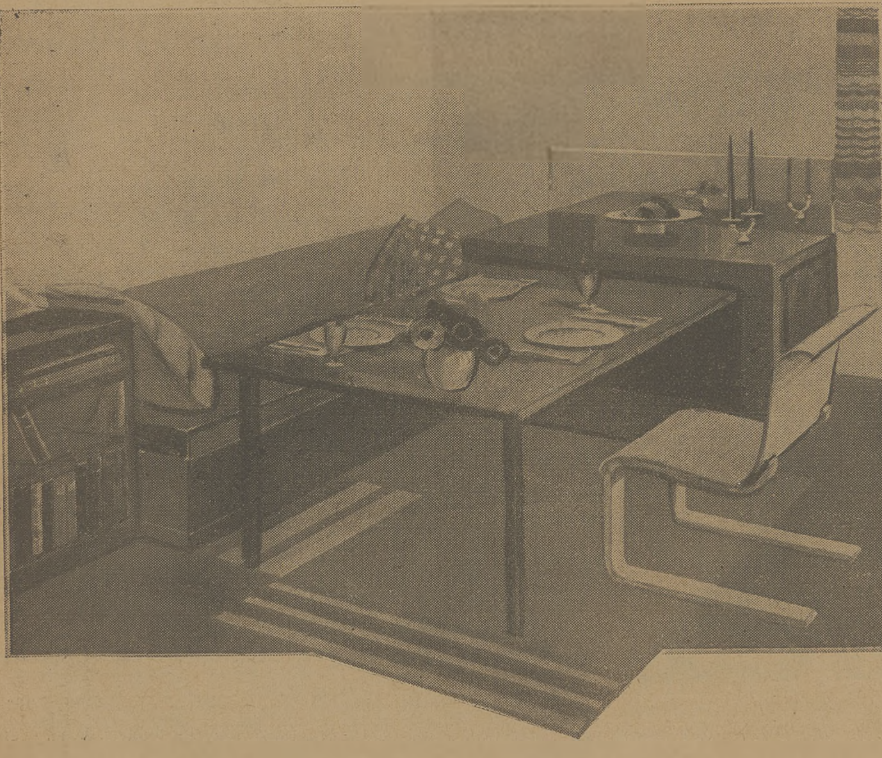
Wyrazem pomysłowości, praktycznego szczędzenia miejsca jest naprzykład stół jadalny znikający wgłębi szafki stojącej przy tapczanie. Wsparty na lekkich metalowych nogach, z blatem łamanym, ukazuje się tylko wtedy, gdy go potrzebujemy, a znika, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej w chwili gdy rola jego jest skończona.

To samo z łóżkiem. Dyskretnie ukryte nie jest bynajmniej „łożem tortur", a wygodnem, typowem łóżkiem o siatce sprężynowej.

Jeden pokój, urządzony podług współczesnych wzorów, pomieści z łatwością dwie osoby, nie zatracając przytem cech pokoju mieszkalnego. W ciągu dnia nikt nie domyśli się, jak łatwo go zmienić na przytulną sypialnię.

Wystarczy rozejrzeć się dokoła, aby ocenić jego niecodzienne uroki. Widny, estetyczny, wesoły, mieści w sobie wszystko bez czego nie mogą się już obejść ludzie współcześni o głęboko zakorzenionej kulturze. Ich „dzień powszedni" nawet jeżeli „wtłoczono" go w ściany jednego jedynego pokoju umie zachować uśmiech piękna i pogody. *N-ska.*





# to samo inaczej

*PODWIECZOREK*

Któraż z nas, pań domu, nie znalazła się kiedyś w kłopotliwej sytuacji wynikającej ze zderzenia: niespodziewanych gości i pustek w kredensie, lub śpiżarni.

Kłopot wprowadzający w stan rozpaczy nietylko młode, ale nawet i doświadczone gospodynie — kłopot, któremu trzeba umieć spojrzeć w twarz ze spokojem i zamiast zdenerwowania wykazać przytomność umysłu. Nie ulec, a zwyciężyć sytuację.

Pamiętam taki tragiczny w teorji, a zwycięski w praktyce podwieczorek.

Działo się to u schyłku lata, w chwili zwijania przejściowego, wakacyjnego gospodarstwa.

Niespodziewani goście, zjawiający się w ...dzinach podwieczorkowych, zaglą... do śpiżarni, byliby już z samego wrażenia zdolni umrzeć z głodu. Kawałek wczorajszej bułki, masło, trochę orzechów i miodu. Jakże zbudować na takich podstawach coś zbliżonego do wiejskiego podwieczorku, który ma dać, jeżeli już nie zaspokojenie gołdu, to chociaż estetyczne wzrokowo i smakowo zadośćuczynienie.

Ale od czego ten szósty, cudotwórczy zmysł pani domu?

Podać czerstwą bułkę? Sama myśl wywołuje dreszcz zgrozy. Miodu jest niedużo, a orzechów jeszcze mniej. Kilku jajek i mąki, które błąkały się jeszcze po opustoszałej śpiżarni trudno uważać za deskę ratunku.

Jednakże w niespełna godzinę do pokoju wniesiono rozłożystą tacę zastawioną domowemi „smakołykami", które doprawdy nie robiły wrażenia *zła koniecznego*, a dobrze pomyślanego i wzorowo podanego podwieczorku

Na ozdobnym koszyczku wysłanym haftowaną serwetką piętrzył się stos chrupkich, złocistych, cienkich jak papier grzanek. W szklanej salatereczce misterne kulki masła, w drugiej bursztynowy miód wymieszany z orzechami. Domowe konfitury, do nich opatrznościowe ciasteczka, za których podstawę posłużyły dwa jajka, 10 dk mąki, 10 dk cukru pudru i trochę migdałów, albo wanilji. Umiejętnie zaparzona, wonna, gorąca herbata, dzbanuszek surowej śmietanki. Parę jesiennych gałązek włożonych do wazonika, barwnie haftowana serwetka, zaścielająca tacę, miły uśmiech pani domu podkreślający jej dyskretną gościnność wystarczyły, aby ten skromny, „sztukowany" posiłek zamienić w prawdziwą ucztę zarówno wzrokową jak i smakową.

*To samo inaczej* jeszcze raz roztoczyło swój niezaprzeczony czar, zadokumentowało jaką jest potęgą jeżeli umiemy się wczuć w jego rozległe możliwości.

*Współczesna*

## Opis modeli

*1. Kapelusz z filcu granatowego, główka marszczona, otoczona wstążką rypsową. Model Erik Braagard.*

*2. Kapelusz z czarnego filcu. Model Erik Braagard.*

*3. Kapelusz z czarnego jedwabnego filcu, przybrany różowem strusiem piórem. Model firmy Suzanne Talbot.*

*4. Kapelusz z aksamitu wiśniowego. Model firmy Worth.*

## Najprostsze dania

Najprostsze dania mogą się stać wykwintnemi, jeżeli zarówno do wykonania ich, jak i podania podejdziemy z punktu widzenia starania i estetyki.

Nawet tak zwyczajna jarzyna, jak kapusta włoska, może pojawić się na naszym stole jadalnym pod postacią wytwornego dania.

Jak ją podać widzimy na podanej ilustracji. A jak ją przyrządzić?

Rozebrać dużą głowę kapusty włoskiej na poszczególne liście. Obgotować je rzucając na wrzącą wodę, osączyć na sicie. Wypłókać ryż kilkakrotnie, rzucić na obfitą wrzącą wodę, raz zagotować, wylać na sito, przelać zimną wodą. Osączyć. Udusić w maśle z dodatkiem cebuli, 15 dk pieczarek pokrajanych na cienkie plasterki, dodać do ryżu pieczarki, łyżkę mocnego buljonu, 5 dk masła, soli do smaku, odrobinę białego pieprzu, sporo siekanej zieleninki, 3 surowe żółtka rozkłócone z trzema łyżkami wyborowej, młodej kwaśnej śmietany. Wymieszać.

Rozkładać liście na desce, kłaść pośrodku każdego łyżkę farszu, zebrać liść ku górze, związać. Ustawić tak przygotowane torebeczki w płaskim rondlu, podlać kilkoma łyżkami rosołu, włożyć 5 dk masła, łyżeczkę cukru. Dusić na wolnym ogniu, pod przykryciem pół godziny. Wydając na stół podać tak jak to wskazuje wizerunek. Pośrodku ułożyć całą główkę włoskiej kapusty ugotowaną w rosole i polaną masłem sklarowanem.

Na górnym wizerunku widzimy specjalne klamerki metalowe, używane zamiast nitek, któremi związujemy zrazy, gołąbki z kapusty i t. p.

Pojawienie się tej ciekawej nowości sygnalizuje nam Ogólna Poradnia Gospodarcza.

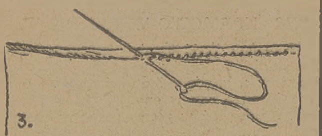
*Współczesna.*





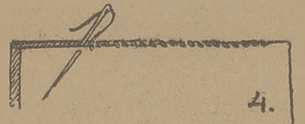



*Obrębianie* (rys. 3). Obrębianie chroni materjał od wystrzępienia, tworząc rodzaj sztucznego brzegu. Stosowane jest do wszystkich materjałów i używane ogólnie, w szyciu bielizny, i w krawieczyźnie.




Załamuje się naprzód wąziutko brzeg, przeznaczony do obrębienia, a założywszy powtórnie wkłuwa się igłę tuż pod obrębkiem, wyciągając ją skośnie o dwie nitki ponad nim. Igłę wkłuwa się zawsze ukośnie, końcem zwróconym ku górze z prawej ku lewej stronie.

Obrębków w bieliźnie nie fastryguje się, tylko zagniata paznogciem. W wełnie, nie zatrzymującej śladów załamania, trzeba je starannie zafastrygować.



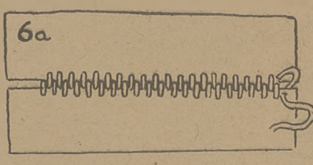

*Zeszywanie wierzchem* (rys. 4). Zeszywamy wierzchem dwie proste strony materjału, zakończone brzegiem. Używamy tego ściegu do zeszywania brytów prześcieradeł, do przyszywania klinów u dołu koszul, do obszywania bielizny koronką i t. p.

Do zeszycia wierzchem, składamy równo ze sobą dwa brzegi materjału, przytrzymujemy je pierwszym i drugim palcem lewej ręki i szyjemy igłą, trzymaną w palcach prawej ręki, uważając, aby ją wkłuwać prostopadle, najwyżej o dwie nitki od brzegu. Ścieg ten, wykonywany od prawej ku lewej stronie, powinien być gęsty, ale nie zanadto do siebie zbliżony i bezwzględnie równy. Dla uniknięcia wszycia jednej ze stron materjału, trzeba go, gdzieniegdzie, pospinać szpilkami. Po skończeniu zeszycia wierzchem, trzeba szew rozdrapać paznogciem i rozpłaszczyć naparstkiem. Inna odmiana tego ściegu zwie się okrętką.




*Okrętka* — o wiele gęściejsza, niż szycie wierzchem, służy do obrębiania wykwintnej bielizny stołowej, pięknych ręczników, do inkrustowania motywów, obszywania koronek, łączenia ich i t. p.

Mało znane, a bardzo wykwintne zużytkowanie okrętki do obrębiania, wykonywa się w sposób następujący: załamuje się brzeg równo po wyciągniętej nitce, następnie zakłada obrąbek powtórnie (rys. 5). Dla utrzymania idealnie prostej linji, trzeba w miejscu, do którego ma dochodzić obrąbek, wyciągnąć niteczkę, złamać wzdłuż niej obrąbek, i trzymając go tak złożonym w dwóch palcach, szyć drobno, niezbyt gęstą okrętką od lewej do prawej strony. Ściegi powinny być kłute prostopadle, gęsto, przyczem nie należy zabierać więcej, niż jedną nitkę materjału. Taki obrąbek, wykonany umiejętnie po lewej stronie, po rozdrapaniu naparstkiem, staje się prawie zupełnie niewidocznym.




Chcąc zeszyć po prostej nitce dwa bryty jedwabiu lub batystu, którego pojedyncza szerokość nie jest wystarczająca, trzeba położyć materjał równo, tak, aby brzegi dochodziły do siebie, ale nie zachodziły na siebie, i wkłuwać igłę od spodu, zajmując dwie nitki od brzegu, naprzód z prawej, potem z lewej strony, dzieląc ściegi przestrzenią dwu nitek. Taki ścieżek, zwany płaską okrętką, wykonany bardzo równo, płaskim jedwabiem, wygląda na ozdobny szlaczek (rys. 6a).

D. c. n. *H. Z.*

# ODPOWIEDZI REDAKCJI

Wszystkim Drogim Paniom Czytelniczkom Kobiety w Świecie i w Domu, z któremi przez długie 11 lat żyłyśmy w tak bliskiej i zażyłej przyjaźni, a które przesłały mi dowody dobrej pamięci łączę wyrazy najserdeczniejszej wdzięczności. Listy Pań są dowodem, że praca, w którą włożyłam serce, praca w służbie wspólnego dobra dała swój posiew. Czuję się po królewsku wynagrodzona.

Sercem oddana i zawsze ta sama

*Wanda Dobrzańska*

*WP. Halina Janczarska* — Równe Wołyńskie.

Jesteśmy szczęśliwe i serdecznie wzruszone listem Szanownej Pani. W najśmielszych naszych marzeniach nie mieściło się to, żeby już 1-szy zeszyt Tygodnika Kobiety dotarł poza Równe Wołyńskie i to do miejscowości, która załatwia pocztę przez „ciemnego hoda".

Proszę i nadal przesyłać nam prenumeratę znaczkami pocztowemi. Pragniemy przedewszystkiem ułatwić konakt z naszem pismem wszystkim Paniom Prenumeratorkom, to też dalekie jesteśmy od stwarzania jakichkolwiek trudności.

Dietę interesującą Szanowną Panią zamieścimy na łamach pisma, a szczegóły prześlemy listem prywatnym. Proszę zgłaszać się do nas z każdą troską — będziemy szczęśliwe mogąc służyć radą.

Serdeczne pozdrowienia łączy

*Redakcja*

*„Jedna z wielu przyszłych Czytelniczek".*

Szanowna Pani przesyła nam swoje uwagi, za które jesteśmy szczerze wdzięczne. Tylko drogą wspólnego porozumienia dojdziemy w końcu do zadośćuczynienia potrzebom i zainteresowaniom wszystkich naszych Czytelniczek. Nasuwa mi się mimowoli na myśl sentencja „Nie odrazu Kraków zbudowany". Tak jest i z działami naszego Tygodnika.

Przyzna Szanowna Pani, że trudno jest wyczerpać na szpaltach jednego jedynego numeru wszystkie zainteresowania (sądząc z daty stempla pocztowego mam pewność, że Szanowna Pani pisała do nas po przejrzeniu pierwszego zeszytu). Proszę wierzyć, że dążymy do zadośćuczynienia wszystkim potrzebom życia, zarówno umysłowego, jak i *potocznego*, na które składają się właśnie zagadnienia, jakie Szanowna Pani porusza.

Działy: dziecięcy i młodzieżowy będą prowadzone przez osoby fachowe. Sportu i gimnastyki nie mamy zamiaru wyłączać z naszego programu. Wnętrze? Jakże moglibyśmy pominąć milczeniem te tak bardzo aktualne sprawy. I budżet i organizacja pracy wszystko przyjdzie do głosu. Prosimy jednak o trochę cierpliwości inaczej wytworzy się chaos nie do opisania coś w tym rodzaju jak gdyby wszyscy uczestnicy licznego zebrania zaczęli mówić naraz. Napewno jeden zakrzyczałby drugiego.

Mamy nadzieję, że Szanowna Pani przyzna wkrótce, że nasze obietnice co do objęcia całokształtu zainteresowań kobiecych nie są słowem, a czynem i nie wątpimy, że zaszczyci nadal życzliwą uwagą Tygodnik Kobiety.

*Redakcja.*

Szanownemu Panu „Czytelnikowi“, który zwrócił się do nas tak sympatycznie (przez telefon) po przeczytaniu 1-ego numery Tygodnika Kobiety dedykujemy feljeton o modzie męskiej, zamieszczony w bieżącym zeszycie, z myślą o zadośćuczynieniu jego żądaniom. Pozwalamy sobie również zwrócić uwagę, że w 2-gim numerze Tygodnika Kobiety rozpoczęliśmy działy: filmowy i sportowy, o które Szanowny Pan zapytywał. Miło nam będzie dowiedzieć się, że Szanowny Pan pozostał nadal w gronie naszych sympatyków.

*Redakcja.*

„WRZOS“.

Droga Pani! Proszę darować ten zwrot, ale słowa przesłane pod moim adresem są tak ciepłe i chwytające za serce, że trudno mi zwracać się do Pani, jak do osoby obcej i dalekiej. List Drogiej Pani czytałam kilkakrotnie i wrócę do niego jeszcze nieraz, bo jest z tych, które dodają sił do pracy i każą wierzyć, że droga, którą się obrało, prowadzi do celu.

W sprawie przesłanego rękopisu napiszę w najbliższym numerze. Tempo pracy i napływających ciągle spraw niecierpiących zwłoki każe nadać im sprawiedliwą kolejność — inaczej wytworzyłby się chaos bez wyjścia.

Mocny uścisk dłoni i wyrazy serdecznej wdzięczności śle Drogiej Pani

*Wanda Dobrzańska.*

WP. MARJA SILCZYŃSKA Z WARSZAWY.

Jestem szczerze wdzięczna Szanownej Pani, że zwraca się do mnie „podawnemu“ ze swojemi kłopotami. Proszę mi wierzyć, że nic się nie zmieniło. Moja gotowość dzielenia się z Drogiemi Paniami wszystkiem, czem mogę im służyć nigdy nie wygaśnie.

Dla dobra zainteresowań Szanownej Pani, wolałabym móc je poruszyć listem prywatnym. Na łamach Tygodnika Kobiety trudno mi znaleźć miejsce do szczegółowego omówienia tylu spraw. Czy mogę zatem prosić o adres?

Serdeczne pozdrowienia i wyrazy wdzięczności za miłe słowa śle

*Wanda Dobrzańska.*

## PRZYPOMINAMY

Miarą dobrego wychowania i kultury jest niepozostawienie żadnego listu bez odpowiedzi.

Szczytem taktu—niewydawanie poleceń i rozkazów, które mogą być nieusłuchane.

Najpewniejszą drogą do zaskarbienia sobie szacunku i zaufania — sprawiedliwość sądu, oparta na szczerej życzliwości dla otoczenia.

Podstawą równowagi moralnej — przeświadczenie, że spełniłyśmy uczciwie każdy wzięty na siebie obowiązek, a podwaliną równowagi materjalnej budżet, nieprzekraczający pokrycia.

*W. D.*

## *Praktyczne drobiazgi*




Pudełka i puszki z białej blachy, używane do przechowywania produktów, które chcemy uchronić przed wilgocią, przyczyniają nam nieraz wiele kłopotu. Przesycone silnemi aromatami: landrynek, wanilji, czy środków chemicznych, jakim służyły za opakowanie, wykazują odporność w wyzbywaniu się tych silnych aromatów. Nie pomaga mycie, nie pomaga wietrzenie — pomaga prosty środek podchwycony przypadkowo.

Wystarczy taką „naaromatyzowaną“ puszkę wypełnić kawałkami chleba, zamknąć szczelnie, a po kilku dniach wyjąć chleb, wymyć puszkę zimną wodą, wytrzeć i wysuszyć. Z aromatu nie pozostanie ani śladu.



Pies, szczególnie stary, bywa ofiarą pcheł, które trudno wytępić. Nie pomaga staranne szczotkowanie, nie pomaga nawet częste mycie. Plagę pcheł zwalcza skutecznie naftalina.

Trzeba posypać psa obficie naftaliną, włożyć na niego worek i zawiązać go pod szyją. Po 15 minutach zdjąć worek, psa wyczesać, wykąpać, spłókać czysto, używając do ostatniego płókania wody z niewielkim dodatkiem kreoliny.

Ten radykalny zabieg należy stosować na dworze, gdyż pchły, zanim zostaną odurzone, uciekają masowo od nienawistnego im odoru i zanieczyszczają mieszkanie. Zresztą i silna woń naftaliny, rozchodząca się po mieszkaniu jest wybitnie przykra dla otoczenia.

„Naftalinowanie“ psa trzeba powtarzać kilkakrotnie w tygodniowych odstępach tak, aby wytępić młode pokolenie zanim się zdąży rozmnożyć.

X

## *Jadłospis tygodniowy skromny*

Uwzględniając różnorodność budżetów naszych Czytelniczek wprowadzamy system podawania w Tygodniku Kobiety jadłospisów tygodniowych i przepisów kulinarnych dostosowanych do budżetów bardzo skromnych, jak i względnie dostatnich. Wobec różnorodności tematów, jakie pragniemy poruszyć na łamach naszego pisma trudno nam poświęcić działowi kulinarnemu tyle miejsca, aby dać w każdym numerze zadośćuczynienie obydwóm budżetom. Najprostszym sposobem rozwiązania nasuwających się trudności będzie zatem sprawiedliwy podział tygodniowy: jeden tydzień dla budżetów ograniczonych — drugi dla rozciągliwych!

**Niedziela.**

Zupa pomidorowa czysta w filiżankach — paluszki z kartofli.

Kotleciki cielęce siekane — jarzynki — sałata z kiszonej kapusty — puree z kartofli.

Jabłka pieczone z konfiturami.

**Poniedziałek.**

Zupa jarzynowa na buljonie z kaszką pszenną.

Babka z kartofli sos rumiany korniszowy.

Borówki.

**Wtorek.**

Barszcz burakowy zabielany — kartofle.

Zraziki wołowe z farszem — kasza gryczana ze słoniną — ogórki kiszone.

Galaretka z jabłek.

**Środa.**

Zupa purée z fasoli — grzanki.

Kotlety baranie siekane — kartofle przysmażane.

Naleśniki z sokiem.

**Czwartek.**

Rosół z włoską kapustą.

Pierożki z mięsem — sos buljonowy.

Owoce.

**Piątek.**

Kartoflanka przecierana na smaku jarzynowym — grzaneczki.

Makaron zapiekany z pomidorami.

Kisiel żórawinowy.

**Sobota.**

Kapuśniak na boczku wędzonym — żółty groch ze słoniną.

Boczek gotowany — chrzan tarty— całe kartofle — ogórki z konserwy.

Kompot z owoców sezonowych.

## *Przepisy kulinarne*

### ZUPA JARZYNOWA

**Proporcja na 4 osoby:**

1 marchew
1 pietruszka
1 cebula
5 dk. drobnej fasolki
¼ główki włoskiej kapusty
5 dk. masła
2 kostki buljonu
1 listek bobkowy
2 ziarna pieprzu
2 ziarna ziela angielskiego
trochę siekanej zieleninki
łyżka czubata kaszki pszennej (manny).

Poszatkować jarzyny w cienkie paseczki. Udusić w maśle, podlewając niewielką ilością wody. Fasolkę ugotować na miękko. Odcedzić smak w którym się fasolka gotowała, dodać tyle wody, aby mieć cztery talerze zupy, włożyć 2 kostki buljonu, zagotować. Zasypać smak łyżką kaszki pszennej, gotować chwilę na wolnym ogniu, włożyć jarzynki duszone i fasolkę. Przykryć, pozostawić w cieple już nie gotując. Na wydaniu dodać siekanej zieleninki. Koszt około 50 groszy.

### BABKA Z KARTOFLI Z SOSEM KORNISZONOWYM

**Proporcja na 4 osoby:**

2 kg. kartofli
1 dużą cebulę
10 dk. słoniny
2 jajka, 3 łyżki mleka
trochę białego pieprzu, sól
bułka tarta do wysypania formy.
**Na sos:**
łyzka cukru na karmel
2 kostki buljonu
łyżka masła
łyżka mąki
cukier, sól, korniszony.

Ugotować obrane, sypkie kartofle, odparować. Przetasować kartofle przez sito, dodać sparzoną i utartą cebulę, tłuszcz wytopiony ze świeżej słoniny (bez skwarek), soli i pieprzu do smaku, 2 całe jajka rozkłócone z mlekiem. Wysmarować formę słoniną, wyprószyć tartą bułeczką, ułożyć masę kartoflaną, wyrównać. Zapiec w gorącym piecu. Podać na okrągłym półmisku. Oddzielnie sos korniszonowy.

### SOS KORNISZONOWY

Upalić cukier na karmel. Przesmażyć łyżkę masła z łyżką mąki, rozprowadzić wodą, dając jej tyle, aby sos był zawiesisty. Zakolorować karmelem, dodać buljon, zagotować mieszając. Doprawić sos do smaku solą i cukrem, włożyć sporo korniszonów pokrajanych w talarki, przykryć, wstawić rondelek z sosem w naczynie z gorącą wodą. Koszt babki i sosu około zł. 1.40.

### KOTLECIKI CIELĘCE SIEKANE

**Proporcja na 4 osoby:**

¼ kg. cielęciny bez kości
1 bułka — ½ szklanki mleka
½ łyżki masła
1 jajko
soli do smaku
bułeczka tarta
Masło do usmażenia.

Bułkę pokrajać na kawałki namoczyć w mleku, odcisnąć. Utrzeć na misce masło z jajkiem na pianę. Dodawać stopniowo bułkę i dalej ucierać. Do gładkiej masy dodać zmieloną dwukrotnie na maszynce cielęcinę, wyrobić łyżką drewnianą, posolić do smaku. Podzielić farsz na cztery równe części, uformować zręczne okrągłe, albo podłużne kotleciki, skrążyć w tartej bułeczce. Kotlety siekane kładzie się na masło sklarowane, ale nie zrumienione, powinny się smażyć powoli, a gdy są już lekko zrumienione z obydwóch stron wtedy nakrywamy je szczelnie i wstawiamy na chwilę do pieca. Smażone w ten sposób będą pulchne i soczyste. Do kotlecików cielęcych siekanych podaje się jarzynkę, albo kaszkę krakowską na sypko (zacieraną jajkiem) i ostry sos rumiany. Koszt około zł. 1.25.

### KASZKA KRAKOWSKA ZACIERANA JAJKIEM

25 dk. kaszki krakowskiej maczku
1 jajko
5 dk. masła — sól.

Wsypać kaszkę na blaszany półmisek, wymieszać z jednem rozkłóconem jajkiem surowem, rozpostrzeć cienką warstwą, przesuszyć w niezbyt gorącym piecyku, aby się nie zrumieniła. Suchą rozkruszyć, przecierając rękami.

Wlać na dno rondla troszkę wody, dodać masło, zagotować. Wsypać kaszkę na gotującą wodę, wymieszać, przykryć, wstawić do pieca na pół godziny. Na wydaniu posolić do smaku, dodać siekanej zieleninki, rozetrzeć widelcem. Kaszki krakowskiej nie można solić zawczasu, bo czerwienieje. Koszt około 40 groszy.

### GALARETKA Z JABŁEK

**Proporcja na 4 osoby:**

2 duże jabłka winkowate
3 szklanki wody
cukru do smaku
sok z półtorej cytryny
1 i ½ dk. żelatyny.

Obrać jabłka ze skórki, wydrążyć środki, pokrajać na talarki. Przygotować lekki syrop zaciśnięty sokiem cytrynowym, obgotować w nim jabłka, uważając aby się nie rozleciały. Wyjmować ostrożnie na półmisek. Zlać sok jaki spłynie z jabłek dodając go do syropu, który trzeba doprawić do smaku cukrem, sokiem cytrynowym i dodać tyle wody, aby były 3 szklanki płynu. Żelatynę namoczyć w zimnej wodzie, wycisnąć, rozprowadzić łyżką gorącego syropu. Przecedzić syrop przez muślin. albo bardzo gęste sitko, dodać żelatynę, wymieszać. Ułożyć jabłka na szklanej salaterce, zalać lekko przestudzoną galaretką, trzymać kilka godzin w zimnie. Wydając na stół przybrać konfiturami osączonemi z syropu. Koszt około 1 zł.

### ZUŻYTKOWANIE BIAŁEK

Pozostają nam nieraz w kuchni białka, których nie umiemy zużytkować. Jest na to bardzo łatwy, „smaczny“ i pożyteczny sposób, a mianowicie: na każde białko bierze się 5 dk. cukru pudru. Wlać białka do kamiennego garnka, wolnego od pozostałości tłuszczu i obcych aromatów. Wsypać cukier, wstawić garnek do naczynia z gorącą wodą i ubijać pianę, trzymając rondel na gorącej zakrytej blasze. Gdy piana będzie już zupełnie sztywna, układać ją w zręczne, małe stosy na blasze wyłożonej woskowanym papierem, wsunąć blachę do ciepłego pieca, ususzyć, starając się nie zrumienić. Można do takich bezików dodać drobno krajanych orzechów włoskich, o osmażanej skórki pomarańczowej, rodzynków. Przechowują się doskonale w pudełku z białej blachy o szczelnie dopasowanym wierzchu.

### SER KREMOWO-WITAMINOWY.

Dowolną ilość tłustej, młodej gęstej kwaśnej śmietany wlać w płócienny woreczek, zawiązać dosyć ciasno, owinąć jeszcze raz w czysty, biały gałganek i zakopać w ziemi (albo w piwnicy), mniej więcej na ćwierć metra głęboko.

Po upływie 24 godzin wyjąć, odwinąć ostrożnie, żeby ziemia nie przedostała się do środka.

Ser taki trzeba robić w niewielkich ilościach — przetrzymywany czas dłuższy traci wykwintny smak. Ser kremowy, przyrządzony podług powyższych wskazówek, zachowuje wszystkie składniki odżywcze i witaminy, jest przytem wyborny w smaku i łatwo strawny.

*Melba.*

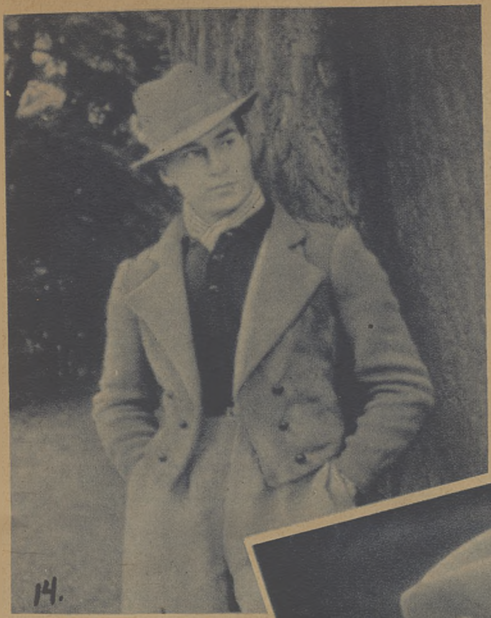


**Prenumerata: miesięcznie 1 zł. 75 gr., kwartalnie 5 zł.**



CENY OGŁOSZEŃ: za 1 wiersz szerokości 1 szpalty w reklamach 50 gr., w tekście 75 gr., specjalne zł. 1 gr. 20; wszystkie strony ogłoszeniowe mają 5 szpalt. Ogłoszenia drobne 20 gr. za słowo.

2317 Zakłady Drukarskie W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3, tel. 644-59.



14.



15.

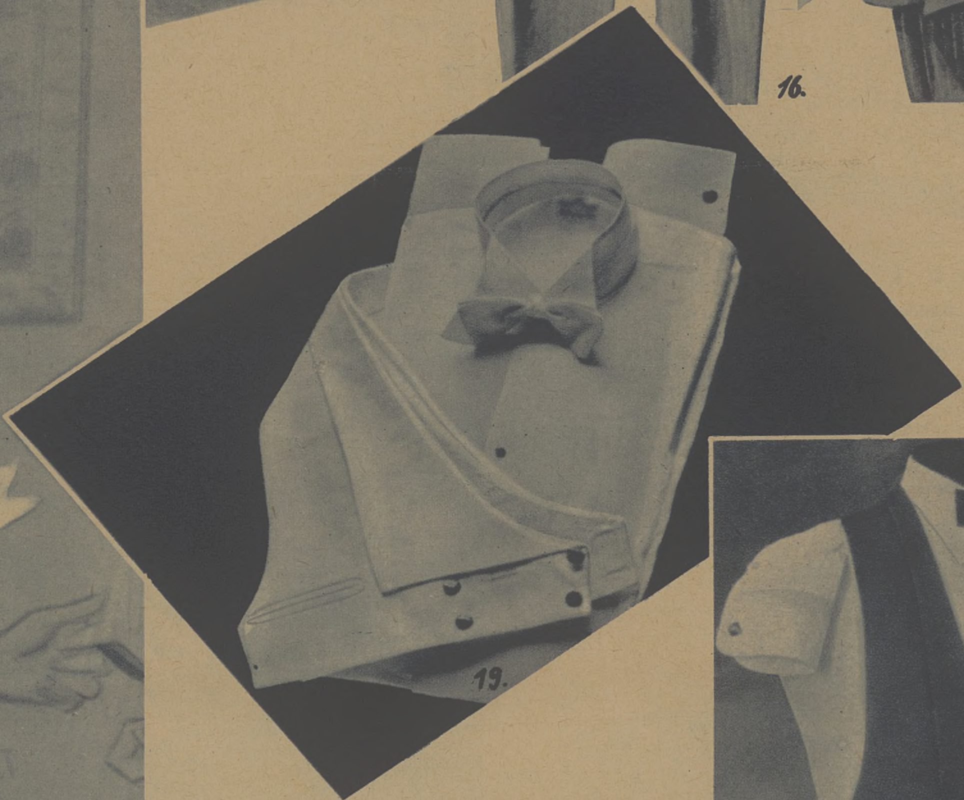




16. 17.



18.



19.



20.

14. Kostjum myśliwski, ciepła kamizelka zrobiona na drutach w kolorze zielonym, biały szal ręczny. Kurtka z grubego trykotu piaskowego. Model firmy David.

15. Kapelusz myśliwski pilśniowy otoczony paskiem ręcznego trykotu w kolorze ciemno zielonym.

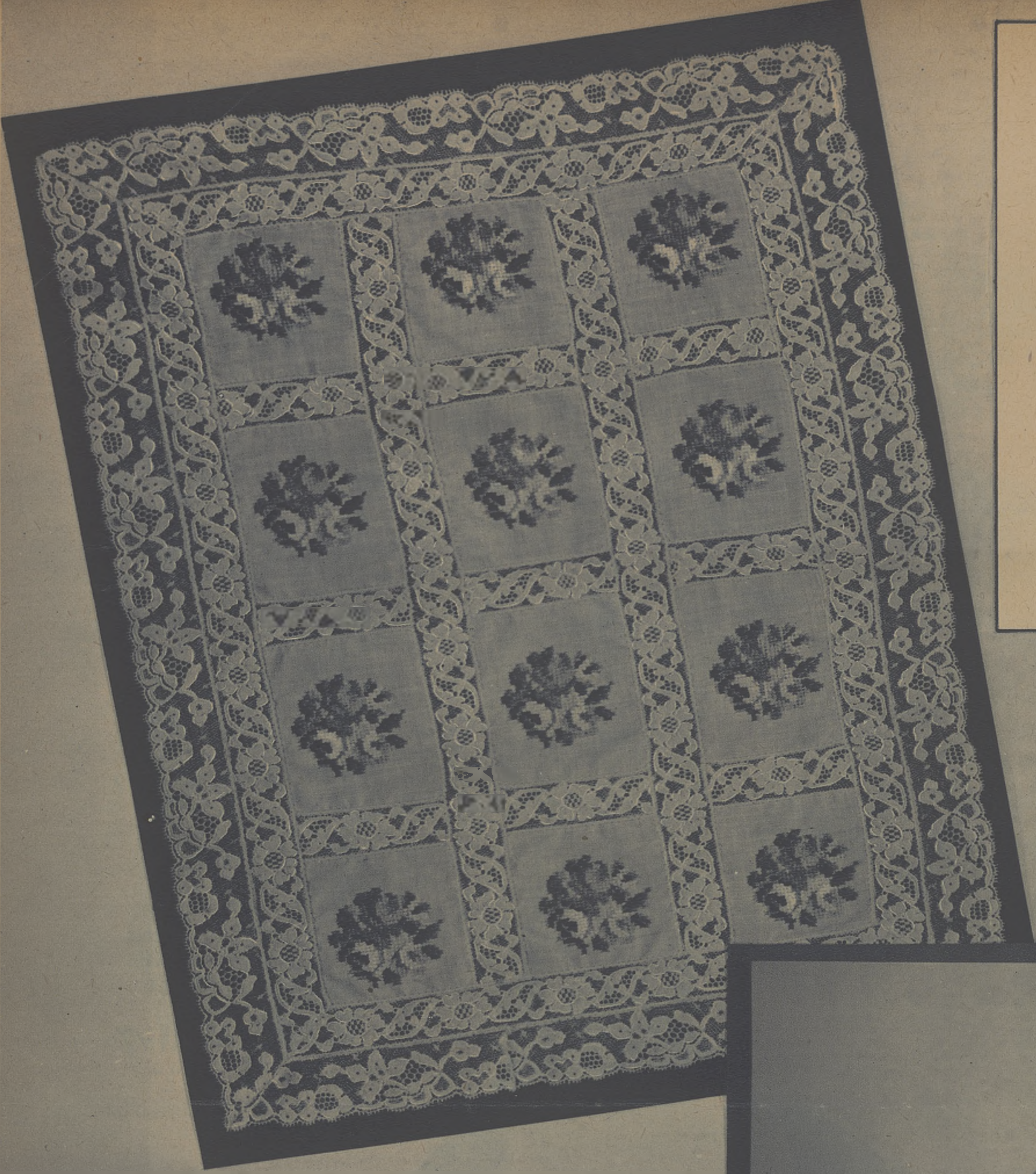
16. Ubranie marynarkowe — ostatni model.

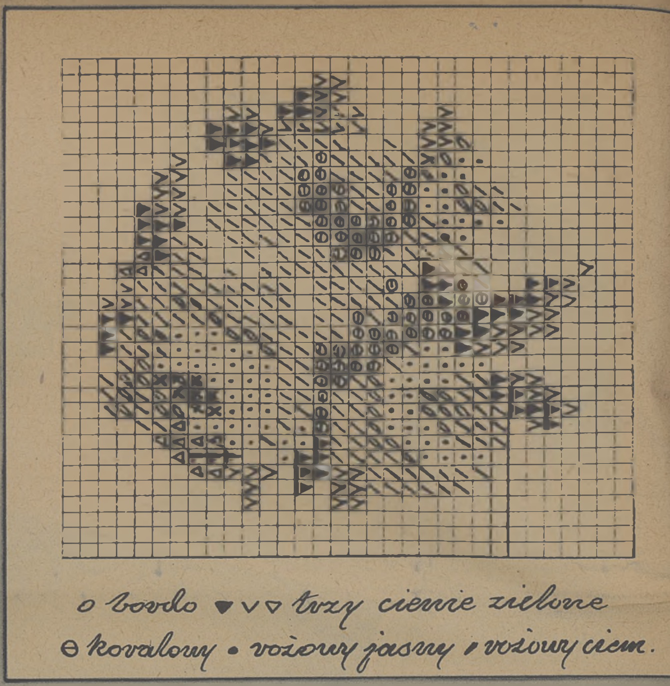
17. Palto spacerowe czarne, kołnierz z aksamitu.

18. Garnitur frakowy skrojony podług ostatnich wskazań. Modna kamizelka zapięta na jeden guzik.

19. Gors koszuli frakowej i kamizelkę robi się zgodnie z wymaganiami mody z jednakowej piki. Model F. Georges.

20. Tak powinna być zrobiona czarna kamizelka do garnituru smokingowego. Model firmy Lanvin.






## Serwetka ozdobiona krzyżykami

Z lnianego batystu lub z opalu wykrawamy 12 kwadratów 20 x 20 cm. Na każdym z nich wyszywamy bukiecik bawełną mouline, krzyżykami, podług podanego wzoru. Kwadraty zeszywamy okrętką z wstawką walansjenową szerokości około 5 cm. i obszywamy całość odpowiednią koronką.

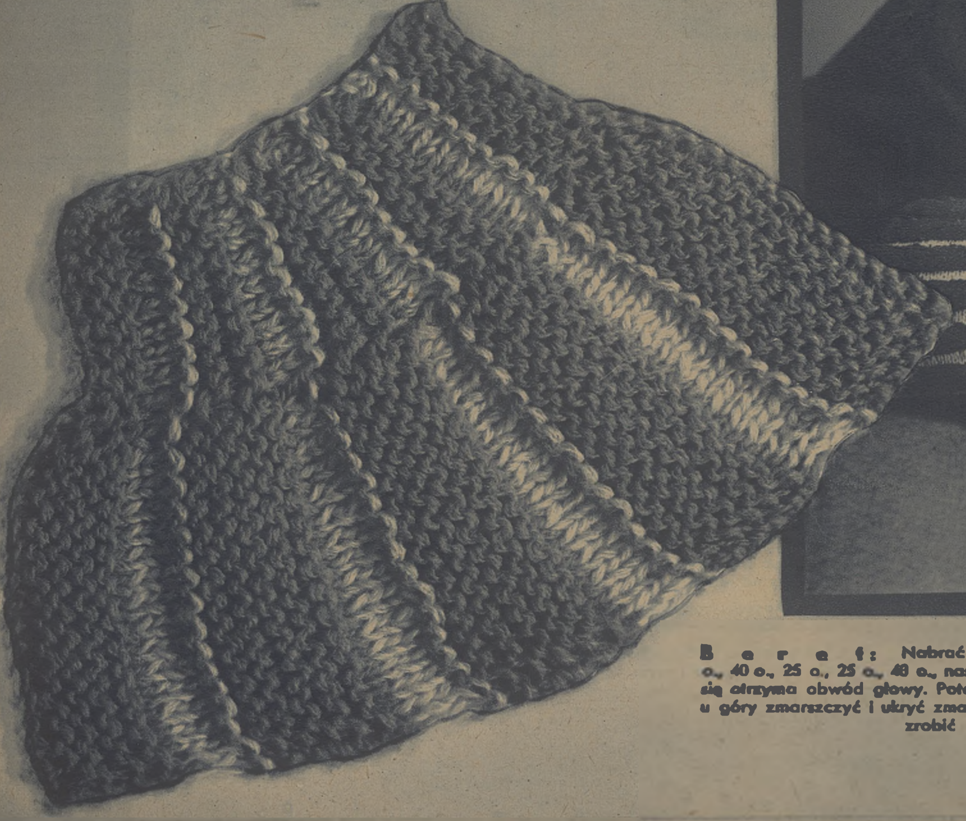
Serwetka będzie miała 100 do 110 cm. długości. Jeśli chcemy ją zrobić większą wystarczy powiększyć kwadraty i wyszyć bukieciki na grubszej kanwie.

## Beret, pelerynka i mankiety z wełny

Wełna Mary druty Nr. 2 i 3, ścieg francuski t.j. obie strony przerabiać zawsze na prawo i ścieg trykotarski — jeden rząd prawy, drugi rząd lewy. Ściągacz: 2 oczka prawe, 2 lewe.

**Mankiety:** nabrać na drut 26 oczek i przerobić francuskim ściegiem, ciemną wełną: 26 oczek, 16 oczek, 16 o., 26 o., 26 o., 16 o., 16 o., 26 o., następnie jasną wełną i ściegiem trykotarskim: 26 o., 16 o., 16 o., 26 o., powtarzać aż otrzyma się obwód napiąstka, następnie robotę zeszyć okrętką i przeczepić do rękawiczki. Dzięki temu, że nie przerabiamy oczek do końca, robota jest szersza z jednej strony niż z drugiej.

**Pelerynka:** Nabrać na drut 52 oczka i przerobić francuskim ściegiem, ciemną wełną: 52 o., 32 o., 32 o., 52 o., 52 o., 32 o., 32 o., 52 o., następnie jasną wełną i ściegiem trykotarskim 52 o., 32 o., 32 o. i 52 powtarzać aż otrzyma się potrzebny obwód, potem na drutach Nr. 2 zrobić ściągacz szerokości 5 cm. Ściągacz należy zrobić na pelerynie..






**B e r e t:** Nabrać na drut 40 oczek i przerobić ciemną wełną ściegiem francuskim 40 o., 25 o., 25 o., 40 o., 40 o., 25 o., 25 o., 40 o., następnie jasną wełną i ściegiem trykotarskim 40 o., 25 o., 25 o., 40 o., powtarzać aż się otrzyma obwód głowy. Potem w taki sam sposób jak przy pelerynce, należy zrobić ściągacz. Zeszyć na okrętkę, u góry zmarszczyć i ukryć zmarszczenie pod dużym pomponem z ciemnej wełny. Beret, pelerynkę i mankiety można zrobić w dwóch kolorach, lub dwóch cieniach jednego koloru.